

## W NUMERZE:

### Kim jest piłkarz?

— Jeśli chodzi o Bońka, to jest to uczciwy i solidny piłkarz, który tak postępuje, aby nie było w stosunku do niego cienia podejrzenia. Zupelnie nie rozumiem, skąd się biorą takie plotki. Z „Polonezem” to istna bajka.

(LUDWIK SOBOLEWSKI)

### W kuchni świata

Analiza dziejów głodu na Ziemi ujawnia zjawisko wręcz zaskakujące: częstotliwość i natężenie klęsk głodu maleją wraz z rosnącą liczbą ludzi, a ogólna sytuacja żywnościowa mieszkańców naszego globu jest dziś lepsza niż była kilkadziesiąt lat temu!

(WŁODZIMIERZ STOKOWSKI)

### Moje 35-lecie

Nasuwa się zatem wniosek, że łódzkie środowisko naukowe powinno dążyć do odgrywania większej roli w życiu naukowym i kulturalnym kraju. Zadowolenie z dotychczasowych wyników pracy nie zwalnia nikogo z dalszych intensywnych badań i solidnej pracy. Chodziłoby jednak o to, aby tę energię wykorzystywać na sprawy istotne, a w minimalnym stopniu na reorganizację i pozorne reformy, które powodują dużą stratę sił i czasu.

(MIECZYSLAW SERWIŃSKI)

### Gdzie ci tancerze...

Za pedagogikę i choreografię biorą się u nas zbyt często ludzie niepowołani. A przecież tak jak nie powinno się zasiadać do pisania książki tylko dlatego, że sprawnie się włada piórem, tak też nie ma szans na to, aby dobry balet ułożył ktoś, kto zna tylko tzw. warsztat. Niezbędna jest jeszcze idea artystyczna! Podobnie też trzeba mieć koncepcję szkolenia, żeby uprawiać pedagogikę.

(FELIKS PARNELL)

### Rolnicze dylematy

Trzeba także dolożyć starań, aby wszystkie ogniwa obsługi rolnictwa działały dobrze; dotyczy to zwłaszcza skupu i kontraktacji. Ale jednocześnie muszą wzrastać wymagania wobec producentów. Bo rolnik mówi: „Wyprodukowałem, miałem, nie kupiłem”. Miał, ale zły towar, nie odpowiadający wymogom rynku i przetwórstwa.

(RYSZARD BINKOWSKI)

### RASUŁ RZA JANKA KUPAŁA — Wiersze

### POZA TYM:

„Załącznik” — Proza  
— Felietony — Polityka

### PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI

## POSZUKIWANIE

Jaki jest polski film społeczno-polityczny, a może — precyzyjniej — film o tematyce szczególnie istotnej dla naszej wiedzy o sytuacji gospodarczej, kulturowej, politycznej, film — który w równym stopniu ma szansę wykorzystywania swoich możliwości jako środek dydaktyczny, dzieło sztuki, instrument poznania? I czy w ogóle można mówić o trwałym nurcie w naszej kinematografii spełniającym takie założenia?

Z teoretycznego punktu widzenia rodzajów i gatunków filmowych byłoby to problematyczne. Praktyka udowadnia jednak wbrew teorii, że jest inaczej. Wyodrębniona przez ZRF filmoteka społeczno-polityczna odnotowuje posiadanie blisko pięciuset tytułów, ponad czterdziestu tysięcy kopii, a liczba jej wypożyczeń przekroczyła w roku ubiegłym trzydzieści sześć tysięcy. Natomiast odpowiedzi na pierwsze pyta-

nie — o dzień dzisiejszy, o bieżącą produkcję, udzielił odbywający się po raz siódmy w Łodzi Ogólnopolski Przegląd Filmów Społeczno-Politycznych.

Impreza ta, która powstała w roku 1970 z inicjatywy łódzkiej instancji partyjnej, stwarza okazję do wymiany poglądów na temat użyteczności nowo powstałych filmów w oświacie, szkoleniu partyjnym, pracy politycznej, na temat działalności instytucji zajmujących się ich upowszechnianiem, a wreszcie — co najistotniejsze — na temat samych filmów. Wykrystalizowane w praktyce pojęcie filmu społeczno-politycznego obejmuje zarówno filmy fabularne, jak i krótkometrażowe, dokumentalne i oświatowe. Kryteria ich przydatności dotyczą zarówno treści, jak i formy, jakkolwiek zakres tematyczny i kształt artystyczny tych filmów jest bardzo różnorodny. Łódzki przegląd obejmuje w swej

głównej części filmy krótko- i średniometrażowe, niefabularne. Uzasadnione jest to przede wszystkim (poza ograniczeniami czasowymi) odmiennością sytuacji filmu fabularnego i filmu krótkiego w rozpowszechnianiu. Wiadomo, że trudniej jest zobaczyć najbardziej nawet interesujący film dokumentalny niż jakikolwiek fabularny — zawsze skierowywany do masowej prezentacji w kinach. Idzie więc o to, aby odbywający się co dwa lata przegląd umożliwił jego uczestnikom zapoznanie się z najważniejszymi dokonaniami filmu oświatowego i dokumentalnego ostatniego okresu, by poprzez dyskusje i przyznane nagrody wskazać na to, co w filmie wartościowe, ważne, a co zostało pominięte lub potraktowane w sposób niepełny.

W tym miejscu warto zaznaczyć: błędem wydaje się sta-

Dalszy ciąg na str. 8



Foto: A. Wach

FELIKS PARNELL: „...nie powinno się zasiadać do pisania książki tylko dlatego, że się sprawnie włada piórem...”

## GDZIE CI TANCERZE...

### Rozmawiamy z FELIKSEM PARNELLEM

— W ostatnich latach wypowiadał się pan nie-raz krytycznie o poziomie polskiego baletu. Nie śmiem kruszyć z panem kopii o samą ocenę, interesują mnie raczej przyczyny tego stanu rzeczy. Na czym one polegają?

— Przede wszystkim nie potępiam w czambuł wszystkiego, co się w naszym baletcie dzieje, dostrzegam istnienie zjawisk dodatnich, takich, jak choćby Polski Teatr Tańca Conrada Drzewieckiego, zauważam interesujące od czasu do czasu widowiska baletowe w TV. Zdarzają się i dob-

rzy tancerze, i udane choreograficznie przedstawienia, ale ogólny stan od dłuższego już czasu jest niepokojący. Uważam, że mamy stanowczo zbyt mało wybitnych tancerzy w stosunku do liczby osób kształcących się w tym kierunku.

— Zwłaszcza jeżeli odrzucimy, jako jałowy, pogląd, że są ot tak po prostu, okresy urodzaju i okresy posuchy na ta-

Dalszy ciąg na str. 8

## CZASU TERAŹNIEJSZEGO

# odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

Łódź

NR 44 (1143) ROK XXII

4 LISTOPADA 1979 R.

CENA 3 ZŁ



Foto: R. Lucyszyn

TADEUSZ  
CHRÓSCIELEWSKI **ONI**  
ze spalonych  
**WSI** czytaj str.4

**ZADUSZKOWE**

HENRYK  
SZUBERT **TRADYCJE**  
CZYTAJ STR.4

### ALEKSY SURKOW



Okopy, zasieki i ślady bitwy.  
Od pożarów w oczach czarno.  
A spojrz dookoła — na polach Litwy  
Soczyste dojrzewa ziarno.

Jakież dorodne tu żyto wyrosło  
I len i wąsaty jęczmień.  
Na wzgórzach wioska i cmentarz za wioską  
I chłód i jałowce smętne.

W południe pluton piechoty zmęczony  
W cieniu się schronił wśród mogił,  
Oddział co wodę pił z Wołgi i Donu  
Czwarty rok wzbija pył z drogi.

Śmierć przerzedziła szeregi jak sierpem,

Lecz człek jest twardy, uparty!  
I ślubowali żołnierze zaczerpnąć  
Wody z niemieckich rzek wartkich.

Od trzech lat pluton przez dym i mrok krocząc  
Zapomniał o śnie i ciszy.  
I dzisiaj, aż trudno uwierzyć oczom,  
Pod samą granicę przyszedł.

Do marszu poderwał się wczesną porą  
I idzie wciąż bez wytchnienia  
I nie ma na świecie takiej zapory,  
By go zatrzymać na mgnienie.

Kroczy surowy jak wyrok losu,  
Ten pluton co wszystko przeżył,  
Po drogach Litwy wśród bujnych kłosów  
Ponagląjących żołnierzy.

(I Bałtycki Front 1944)

Przełożył: IGOR SIKIRYCKI

## WYSOKIE ODZNACZENIE DLA „GR”

Uroczystość, jaka miała miejsce w poniedziałek w Łódzkim Ośrodku Kształcenia Ideologicznego, można określić jako święto łódzkiej prasy. Orderem Sztandaru Pracy II klasy wyróżniona została redakcja „Głosu Robotniczego”; sprawiło to satysfakcję całemu środowisku, choćby i z tego powodu, iż niemało „głosowców” pracuje obecnie także w innych redakcjach i to na eksploatowanych stanowiskach. W uroczystości uczestniczyli m. in. członkowie Egzekutywy KŁ PZPR z I sekretarzem KŁ Bolesławem Koperskim (jak się okazało, B. Koperski był w latach czterdziestych korespondentem „GR”) i sekretarzem KŁ Genowefą Adamczewską, oraz I sekretarz KW PZPR w Sieradziech Ryszard Bryk, sekretarz KW w Piotrkowie Tryb. Włodzimierz Stefanski, I sekretarz KW PZPR w Sieradzu Tadeusz Stasiak i sekretarz KW Krystyna Krupnik. Przybyli również z-ca kierownika Wyd. Prasy, Radia i TV KC PZPR Wiesław Ilczuk oraz wiceprezes ZG RSW „Prasa — Książka — Ruch” Bronisław Stępień.

Gości powitał I sekretarz POP PZPR przy redakcji „Głosu Robotniczego”, red. Aleksander Batorowicz, po czym zabrał głos redaktor naczelny pisma Jan Pakula (fragmenty wystąpienia podajemy obok).

Gratulacje złożył m. in. Stanisław Kluska, sekretarz KD PZPR Łódź-Saluty, Jadwiga Wysocka, sekretarz KZ PZPR przy Fabryce Maszyn Górniczych „Pioma” w Piotrkowie Tryb. oraz przewodniczący Oddziału Łódzkiego SDP, red. Wojciech Drygas.

W. Ilczuk, przemawiając w imieniu Wyd. Prasy, Radia i TV KC PZPR, zwrócił uwagę na autentyczne sukcesy, jakie odnosiła gazeta w ciągu całego istnienia. Nawigując do okoliczności poniedziałkowego spotkania W. Ilczuk stwierdził, iż uroczystość uhonorowania „GR” wysokim odznaczeniem państwowym, przyznawanym przez Radę Państwa, jest fragmentem dnia pracy, po którym dziennikarze przystąpią do pełnienia swych codziennych obowiązków. Kolejnym takim obowiązkiem jest upowszechnianie wiedzy o obecnych problemach rozwojowych naszego kraju, związane z przygotowaniem do VIII Zjazdu PZPR.

Przed dokonaniem aktu dekoracji, I sekretarz KŁ PZPR B. Koperski, przemawiając z upoważnienia także władz partyjnych i administracyjnych województwa piotrkowskiego, sieradzkiego i sieradzińskiego, stwierdził, iż „Głos Robotniczy” jest gazetą cenioną za principjalne stawianie problemów, wnikliwość w ocenie zjawisk oraz „popularyzowanie tego co nasze, co polskie, co nam, Polakom służy”.

— Gazeta — stwierdził B. Koperski — powinna i musi mówić o sprawach trudnych, zastanawiając się skąd biorą się trudności; jej zdaniem tym bardziej się liczy, gdy potrafi ona wskazać wnioski, propozycje zmierzające do usuwania trudności. Ceniemy naszą gazetę partyjną za to, że pokazuje ludzi w działaniu — dobrych i wartościowych, ale bywa że słabych, a nawet złych. Gratulując wysokiego wyróżnienia — kontynuował I sekretarz KŁ PZPR — trzeba wyrazić słowa głębokiego uznania szacunku tym, którzy tworzyli tę gazetę — dla wszystkich pokoleń dziennikarzy.

Zyczenia, jakie złożył B. Koperski w zakończeniu, były najlepsze z tych, jakie można złożyć dziennikarzom — aby ich gazeta była czytana, głęboko rozumiana pomagała ludziom w ich pracy i w życiu, wskazywała kierunki rozwiązywania spraw trudnych. Do życzeń tych dołącza się natężenie także zespół „Odgłosów”.

Sztandar „GR”, udekorowany Orderem Sztandaru Pracy II klasy, liczy sobie lat 30; jego drzewce jest starsze — pochodzi ze sztandaru koła PPR przy „Głosie Robotniczym” z roku 1945...

(...) Przypomnieć trzeba, że pierwszy numer „Głosu Robotniczego” ukazał się 20 czerwca 1945 roku. Tytuł gazety nawiązywał do wydawanej w 1918 roku gazety SDKPiL i PPS-Lewicę wychodzącej w Płocku. Nowy „Głos Robotniczy” był gazetą Polskiej Partii Robotniczej i już od pierwszych swych numerów z całą wyrazistością reprezentował linię polityczną partii. Stawał do walki o utrwalenie młodej władzy ludowej, wyjaśniał czytelnikowi najistotniejsze założenia nowego ustroju, przedstawiał polityczny sens działalności wrogów w kraju i za granicą. Z pasją i zaangażowaniem gazeta podejmowała problematykę odbudowy zniszczonego kraju, jego gospodarki, notowała wszystkie sukcesy, ale też z nie mniejszą pasją zwracała zjawiska utrudniające postęp.

(...) W trudnej i złożonej sytuacji politycznej pierwszych lat Polski Ludowej, kiedy zaczynał się dopiero proces przemian w świadomości społecznej, ogromną rolę odgrywały wszelkie działania zmierzające do umocnienia jedności w ruchu robotniczym, rozwijania tej drogi, która doprowadziła do wyzwolenia PPS i PPR. Gazeta czynnie i uważnie śledziła przykłady wspólnego rozwiązywania przez komórki ciał partii różnych problemów. Śledziła te tendencje niejak od dołu, tam, gdzie bezpośrednio, w pracy nad odbudową kraju, w zakładach przemysłowym, w instytucjach dochodziło do praktycznego realizowania idei jedności. Odwoływała się też do opinii działaczy obydwiu partii, tych, którzy rozumieją, że zjednoczenie ruchu robotniczego, przyjęcie platformy politycznej, która legła u podstaw zwycięstwa socjalizmu w kraju, jest nieodzownym warunkiem jego rozwoju.

Wiele inwencji włożyła gazeta w propagowanie hasła referendum „3x tak”, przeprowadzając liczne rozmowy i wywiady z przedstawicielami różnych środowisk, wyciagając z nich obok robotników wybitni ludzie nauki i sztuki. Okres przed referendum wypełniał szczególną nasilenie walki z reakcyjną i wsteczną polityką działaczy PSL skupionych wokół Mikołajczyka. Niezależnie od wielkiej liczby publikacji demaskujących istotę tej polityki, zmierzającej do cofnięcia historii, publikacji własnych i przedruków, „Głos Robotniczy” zamieszczał relacje obrazujące kryzys polityczny PSL w najniższych jego ogniwach, utracie zaufania w chłopskich strzępach. Te publikacje były świadomym działaniem, elementem walki politycznej o zwycięstwo jedynie słusznej idei demokratycznej i socjalistycznej przemian kraju.

(...) W latach pięćdziesiątych redakcja przywiązywała wielką wagę do rozwijania ruchu korespondentów chiłskich i robotniczych, było wśród nich wielu ludzi zaangażowanych i odważnych, którzy dawali gazo-

Proletariusze wszystkich krajów Tęczycie się!



# GŁOS ROBOTNICZY

Dziennik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej

cie bogaty i bliski życia obraz środowisk wiejskich i fabrycznych.

Wiele miejsca na łamach gazety zajmowały sprawy partii, umacniania jej szeregów, pracy jej wszystkich instancji, doświadczeń w wielkich zakładach przemysłowych, gdzie podejmowano zobowiązania produkcyjne, rozdział się wysiłek pracy. „Głos Robotniczy” problematyce życia i pracy klasy robotni-

cznym efekcie do zwiększenia propagandowej skuteczności. Coraz dopatrzony serwis informacyjny zarówno z terenu obsługiwanej przez gazetę jak i z kraju i zagranicę stanowił podstawę do podejmowania w publicznych debatach, z którymi odbiorca stykał się na co dzień w swjej pracy zawodowej, działalności społecznej i politycznej.

(...) Bez wątpienia nowym bodźcem dla zespołu redakcyj-

Łodzi „Głos Robotniczy” wiadomości o zatwierdzeniu programu rozwoju Łodzi przez Biuro Polityczne zatytułował: „Wielka szansa w rękach mieszkańców miasta”. Później obszernie informował o szczegółach tego programu, mobilizował swych czytelników do aktywnej pracy.

Zbliżał się pamiętny VI Zjazd partii. Kampania przedzjazdowa na łamach gazety nabrała charakteru szerokiej wymiany poglądów, w której brał udział aktyw partyjny, czytelnicy gazety spontanicznie włączający się do dyskusji. Rozważano kwestie związane z usprawnianiem funkcjonowania gospodarki, rozwiązywaniem problemów społecznych. Szczególną popularność zyskał cykl publikacji — „Opinie, polemiki, propozycje”.

„Głos Robotniczy” wykorzystując wyraźnie zwiększenie aktywności społecznej mieszkańców Łodzi i województwa proponuje w tym okresie szereg akcji społecznych. Wspiera na przykład inicjatywę odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie organizując zbiorckę funduszy, która przyniosła ponad 600 tysięcy złotych. Inicjuje bu-

nam o widzenie wielu spraw w skali makroregionu i kraju, o pokazywanie spójności procesów społeczno-gospodarczych i kulturowych. Czyniliśmy w tym względzie wysiłki zarówno w dziedzinie informacji, bieżącego odzwierciedlania życia województwa, w czym pomagala nam nowa organizacja redakcji, a więc utworzenie oddziałów w stolicach województwa, jak i wysiłki w zakresie publicystyki. W tym drugim przypadku dążyliśmy do tego, aby działalność dziennikarska miała charakter pogłębiony, aby wypisywała problemy naszego regionu w całością zagadnień podejmowanych przez partię.

(...) Kampanie polityczne ostatnich lat związane z 60-leciem odzyskania niepodległości, 35-leciem Polski Ludowej, 40-leciem agresji hitlerowskiej i inne starał się wykorzystywać do poważnej i rzeczowej rozmowy z czytelnikiem na temat socjalistycznych przemian w naszym kraju, obiektywnych historycznych przesłanek stojących u ich podstawy. Korzystaliśmy tutaj zarówno z historycznej wiedzy ludzi nauki jak i doświadczeń działaczy partii, ludzi bezpośrednio zaangażowanych w walkę o socjalizm. Dużą wagę przywiązywaliśmy i przywiązujemy do tradycji ruchu robotniczego i do dzisiejszych doświadczeń klasy robotniczej.

„Głos Robotniczy” rozwijał szeroko działalność organizatorską, mającą na celu pobudzenie różnego rodzaju inicjatyw społecznych i aktywności obywatelskiej. Kilka przykładów akcji zamierzanych i prowadzonych przez gazetę w ostatnich latach. Najważniejszymi przedsięwzięciami w tym względzie są chyba tutaj takie stałe akcje gazet jak: „Każdy dzień na wagę złota”, „Szukamy ludzi inicjatyw społecznych”, fundusz

### Fragmenty wystąpienia redaktora naczelnego „GR” JANA PAKUŁY

częj poświęcał od pierwszych chwil swego istnienia szczególną uwagę, a doświadczenia pracy dziennikarskiej w tym zakresie pozwalały w miarę upływu lat coraz głębiej wnikać w istotę wielu problemów, odchodzić od powierzchownej obserwacji do przedstawienia autentycznych, żywo obchodzących robotnicze środowiska problemów. Tak więc problematyka produkcyjna rozpatrywana była przez pryzmat ludzkiej pracy, postaw, zaangażowania i świadomości. „Głos Robotniczy” akcentował zdobyte socjalne finiały pracy, rozwój jego kultury.

W drugiej połowie lat pięćdziesiątych, kiedy partia wyciągała wnioski wynikające ze zjawisk społecznych w kraju, z sytuacji międzynarodowej zarówno w obozie socjalistycznym jak i na całym świecie, kiedy dokonwał się proces doskonalenia form demokracji socjalistycznej wspomniane wyżej doświadczenia zespołu redakcyjnego w pogłębieniu analizy podejmowanych problemów, we wnikliwszym i wszechstronniejszym sposobie obserwowania rzeczywistości zdawały swój trudny i politycznie odpowiedzialny egzamin.

(...) Na początku lat sześćdziesiątych rozpoczęła się ewolucja gazety idąca w kierunku uzbogacenia i większego zróżnicowania form dziennikarskiego przekazu, co wynikało z dążenia do nawiązania bliższego, bardziej bezpośredniego dialogu z czytelnikiem, a więc w osta-

tego tak jak i dla całego narodu była pogrudniowa polityka naszej partii, program dyktamentu rozwoju kraju, przyspieszenia rozwoju społeczno-gospodarczego. Gazeta skupia teraz uwagę na problematyce gospodarczej, wyjaśnia istotę strategii w tej dziedzinie, prezentuje rozmach inwestycyjny kraju. Uchwała Biura Politycznego dotycząca moderniza-

Proletariusze wszystkich krajów Tęczycie się!



# GŁOS ROBOTNICZY

Dziennik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej

cji łódzkiego przemysłu i rozwoju miasta stworzyła klasę robotniczej naszego regionu zupełnie nowe perspektywy, wzniosła dynamikę pracy, przemian społecznych i kulturalnych.

(...) Momentem szczególnym w dziejach miasta i regionu była uchwała Biura Politycznego KC PZPR w sprawie rekonstrukcji przemysłu i rozwo-

ju parku kultury i wypoczynku na Zdrowiu.

W połowie 1971 roku gazeta podchwytuje apel tow. E. Gierka w sprawie powszechnego i masowego wysiłku na rzecz sprawniejszego i uczciwszego wykonywania zadań inwestycyjnych organizując konkurs „Każdy dzień na wagę złota”. Przyczynił się on, kontynuowany przez wiele lat, do popularyzacji najważniejszych zadań inwestycyjnych w Łodzi i regionie, budował prestiż społeczny dobrej roboty.

Gazeta miała także swój poważny udział w znacznym ożywieniu kulturalnym wspierając swoimi publikacjami i inicjatywami takie przedsięwzięcia wczesnych lat siedemdziesiątych jak Triennale Tkwimy, spotkania baletowe, kampania na rzecz rozwoju Łodzi filmowej.

(...) Ze zrozumięciem względów ostatnie pięćdziesiąt lat „Głosu Robotniczego” mogły przedstawić jedynie informacyjnie, wskazując na programowe założenia i ogólne koncepcje redagowania gazety. Ocena naszej pracy, także i z braku czasowej perspektywy, może mieć charakter doraźny, taki jaki mają prowadzone co tydzień nasze autoneceny, które wprowadziliśmy w ostatnich latach dla roboczych celów.

W 1975 roku w związku z nowym podziałem administracyjnym kraju „Głos Robotniczy” zaczął ukazywać się jako dziennik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej obejmujący swoim zasięgiem cztery województwa — miejskie łódzkie, piotrkowskie, sieradzkie i sieradzińskie. Staraliśmy się o to, aby ta zmiana nie miała jedynie charakteru formalnego, ale wiązała się z pogłębieniem treści naszego pisma. Chodzilo

o mieszaniowy dla sierot. Z akcji stałych można jeszcze wymienić różne kulturalne inicjatywy, jak np. „Wybieramy najlepszy debiut aktorski”, konkurs na najpopularniejszy film radiotelewizyjny, plebiscyt na najlepsze przedstawienie teatralne itp. Z ciekawszych — jak nam się zdaje — przedsięwzięć ostatnich lat, istotnych z punktu widzenia społecznego zastępują na uwagę: konkurs na najlepszy samorząd mieszkańców, konkurs propagandy wizualnej w zakładach pracy, akcja „Błyskawicznie i dobrze” animująca czynny społeczny na rzecz osiedla czy miasta obejmująca prace porządkowe, urządzenie zieleńców itp.

Oczywiście są to tylko wybrane przykłady, organizujemy w ciągu roku tego rodzaju konkursy, ankiet, akcje kilkaset. Calej tej działalności organizatorskiej przysięgną jeden cel: bezpośrednie oddziaływanie gazety na ideowe i społeczne postawy społeczeństwa, realizowanie w praktyce idei samorządności jako elementu doskonalenia demokracji socjalistycznej.

(...) Staramy się tak redagować „Głos Robotniczy”, aby merytorycznie treści, możliwe do try poziomu warsztatowy ich przekazywania, odpowiadać na żywotne zainteresowania różnych kręgów społeczeństwa, a przede wszystkim klasy robotniczej, rolników, inteligencji pracującej decydowały o obliczu gazety. I kiedy spotykamy się z naszymi czytelnikami na dorocznym święcie, które traktujemy jako rok święto w dniach prasy partyjnej, kiedy rozmawiamy z nimi w czasie dziesiątków spotkań, kiedy chcą być z nami — mamy nadzieję, że jest w tym akceptacja dla naszej pracy.



I sekretarz KŁ PZPR B. Koperski dekoruje sztandar „Głosu Robotniczego”. Foto: M. Zajdlar

## odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (z-ty redaktora naczelnego), JERZY KATARASINSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDUCH, MALGORZATA GOLICKA, JACER INDEKAR, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD LUCYSZYŃSKI (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAŁCOWIECKI, JERZY RZYMCZYŃSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stałe współpracownicy: IAN BABINSKI, ANDRZEJ BLAJER, ADEJŚĆ BLĄŻEWSKI, TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI, ORZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ P. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRYSZTOF POGORZELC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPARSKI, JANUSZ SZYMARSKI-GLANC, JERZY WILMARSKI.

Ktoś oświadczył dowcipnie, z nutką niefrasobliwego humoru, iż sposób na zlikwidowanie trudnych problemów łódzkiego rolnictwa jest niezwykle prosty: wystarczy jedna decyzja prezydenta i w ciągu dnia województwo miejskie przestanie istnieć. Otóż mamy 103,7 tys. ha użytków rolnych i 1,1 mln mieszkańców, na każdego przypada 9,5 ara, jeżeli więc da się każdemu przypadającą mu działkę to nie ma ziemi, nie ma produkcji rolnej i nie ma województwa...

Owszem, można rzucić dowcipami, ale gdy zajrzy się do rocznika statystycznego GUS, to się okaże, gdy porównamy proporcje zaludnienia, wielkość obszaru oraz wysokość produkcji rolnej, że województwo łódzkie w większym procencie zaspokaja potrzeby żywnościowe ludności niż o wiele silniejsze i zasobniejsze aglomeracje, jak krakowska czy katowicka.

Ostatnio węzłowe problemy gospodarki żywnościowej województwa łódzkiego rozpatrywane były przez Wojewódzki Zespół Poselski oraz wspólne posiedzenie Egzekutywy KŁ PZPR i WK ZSL. Stwierdzono, iż w obecnej sytuacji należy uważać systematyczne podnoszenie poziomu gospodarowania, kwalifikacji rolniczych, zwłaszcza przez kobiety wiejskie, propagowanie nowoczesnych form gospodarowania i wdrażanie nowych technologii żywienia oraz zwiększenia udziału samorządu w rozstrzygnięciu najważniejszych spraw dla wsi i rolnictwa.

Obecnie stan produkcji rolnej, zbioru plodów i skupu przedstawia się nieźle, ale nie w każdej dziedzinie. Np. w przemyśle rolno-spożywczym plan za 9 miesięcy został wykonany, są jednak zakłady, które nie nadążają z różnymi przyczyn. Trzeba także dolożyć starań, aby wszystkie ognia obsługi rolnictwa działały dobrze; dotyczy to zwłaszcza skupu i kontraktacji. Ale jednocześnie muszą wrastać wymagania wobec producentów. Bo rolnik mówi: „Wyprodukowałem, miałem, nie kupili”. Miał, ale zły towar, nie odpowiadający wymogom rynku i przetwórstwa.

Wojewódzka Spółdzielnia Ogródniczo-Pszczelarska skupuje dziennie 250-300 ton warzyw i zaplanowanych 19 tys. ton zostało do magazynowania 7 tys. ton. Na 7 tys. ton owoców skupiono 5 tys. ton. Magazynuje się je we własnych obiektach oraz po podpisaniu umów, za odpowiednią opłatą, u producentów prywatnych, którzy posiadają przechowalnie, spełniające określone warunki. Zapelnili się zbiorniki z jabłkami przemysłowymi i przetwórnymi „zakłady” się, ale WSOP zapewnia, iż weźmie wszystko.

W wyniku kłopotów transportowych, na 24 tys. ton ziemniaków zgromadzono 19 tys. ton, przy czym zakłady pracy, które dla swych pracowników kupują ziemniaki po cenie skupu (230 zł za kwintal), odebrały zaledwie 8,5 tys. ton, czyli połowę tego, co w roku ubiegłym. Ziemniaki w tym roku obrodziły i leżą gdzieś w województwie, ale nie wiadomo, jaki będzie ich los. Bo nie mamy wielkiej przechowalni, takiej z prawdziwego zdarzenia, a zapoczątkować wszystkie się nie da, bo w tym roku brakuje słomy. Instytucje odpowiedzialne za magazynowanie zapasów twierdzą, że do końca listopada zgromadzą pełne rezerwy warzyw, owoców i ziemniaków.

Nie zrealizowano inwestycji na obiektach należących do gospodarki społecznej, dotyczy to szczególnie wielkich obór mlecznych. Jednakże nie zmarnowano ani materiałów, ani tzw. mocy przerobowej, gdyż te przeszły na kombinat szklarniowy w Janowie. Z budowy obór nie zrezygnowano tylko ze względu na priorytet dla Janowa. Okazało się, że obory na 400 krów zagrażają... środowisku naturalnemu, i że ze względu na ochronę środowiska górna granica nie powinna przekraczać 250 sztuk bydła. W

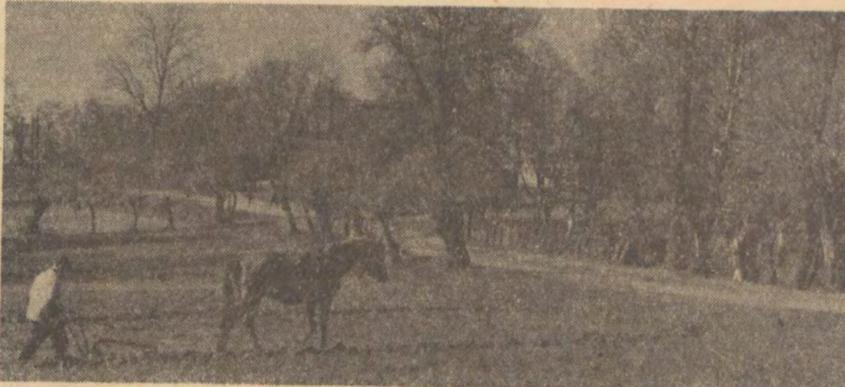


Foto: Archiwum

wielkiej oborze nie sposób magazynować ogromnej ilości gnojowicy. Ale to jest jedna z przyczyn. Druga — to fakt, że wokół takiej obory nie daje się zgromadzić znacznej ilości ziemi, która zapewniałaby bazę paszową. W porę to dostrzeżono, bo spotykaliśmy już na reporterskiej ścieżce chlewnie na 500 sztuk, gdzie pokwitało zaledwie 200 świnek, gdyż rolnik miał za mało ziemi, żeby wykarmić pięćset, i w ten sposób pół miliona złotych wyrzuconych na niewyściej było zwyczajnie „zamrożonych”, nie wykorzystanych...

Podczas ostatniej konferencji prasowej wiceprezenta miasta Łodzi — Lecha Krowirandy — zaangażowano do dziennikarzy, aby szerokim frontem włączyli się do propagowania osiągnięć rolnictwa łódzkiego i pokazywania cichych bohaterów — ludzi zasłużonych, ofiarnych, prze-

Ponownie mamy urodzaj ziemniaków, ale nie wiadomo, czy się powtórzy i dlatego szybko należy przełamać trudności w rozprowadzaniu dobrych sadzianek.

W uprawach czterech zbóż nadal przeważa żyto. W tym roku plony są niskie. Nie wynikają one wyłącznie ze złych warunków pogodowych, ale także z błędów w agrotechnice. Trzeba odpowiednio założyć uprawy w potas i azot, zachowywać terminy agrotechniczne, które są „inwestycją” najtańszą, położyć nacisk na szkolenie jesienno-zimowe i szerzej wprowadzać do produkcji kwalifikowany materiał siewny, a plony na pewno będą wyższe, bez względu na pogodę.

Jeśli chodzi o produkcję zwierzęcą, to trzody chlewniej mamy już tyle, ile zaplanowano na koniec pięcioplatki. Istnieje jednak dużo gospo-

RYSZARD BINKOWSKI

# ROLNICZE DYLEMATY

lamujących w swej pracy ogromne trudności i przeszkody. Nie tylko tych z wielokrotnie opisywanych spółdzielni produkcyjnych w Dąbrowce i w Ksawerowie, ale także innych, bo spółdzielni mamy w aglomeracji 23. Na prezentację zasługują budujący w czynach społecznych wodociągi i dziesiątki kilometrów nowych dróg, a także pracownicy gminnej służby rolnej, na którą nie wystarczy tylko psoczyć, bo tam działają instruktorzy dobrego i zła, i z tymi ostatnimi trzeba będzie się rozstać.

Założenie jest słuszne, ponieważ prezentowanie ludzi dobrej roboty dopinguje do czynu innych. Ale dziennikarze nie mogą jedynie bić w dzwony pochwalne. Muszą śmiało wkraczać w sprawy trudne, a takich jest wiele, jak chociażby kłopoty inwestycyjne (okazuje się, że np. melioracje w województwie łódzkim uwarunkowane są podjęciem prac w województwach ościennych), czy też problem tworzenia tzw. pierścienia mlecznego, zabezpieczenia bazy paszowej oraz zespołowego wysiewu nawozów mineralnych na użytkach zielonych.

darstw, które w ogóle nie prowadzą hodowli bydła i trzody chlewniej. Najgorzej jest z bydłem, i nie chodzi tutaj wyłącznie o pogłowię krów. Nadal magnesem dla handlarzy robiących kokosowe interesy staje się nielegalny ubój cieląt. Wydaje się, że w tej sytuacji różne papierkowe nakazy i zakazy nie zdadzą egzaminu; że trzeba będzie zastosować pewne represje. Te nieuczciwe machinacje winni potępić mieszkańcy miast, do ich świadomości powinien bowiem dotrzeć fakt, iż korzystniejsze dla nas wszystkich jest zabicie wołca o wadze 500 kg niż 40-kilogramowego cielaka.

Stajemy przed bardzo trudnym sezonem energetycznym, który nie ominie rolnictwa i przemysłu rolno-spożywczego. I dlatego, chociaż może to kogoś denerwować, wiesz mus! dawać produkcję i oszczędzać energię. Wiesz także obowiązują staranne opatrzenie drzwi oraz okien w domach, chlewniach i w oborach.

Ale ponad to wszystko wybija się problem generalny i gospodarka ziemią. W ostatnich la-

tach ubyto 3,7 tys. ha użytków rolnych i gdyby takie tempo się utrzymywało, to rzeczywiście można by zlikwidować województwo. W tym kontekście, obok ochrony użytków rolnych, szczególnego znaczenia nabiera regulacja stosunków własnościowych, scalanie gruntów, którego dokonano już na obszarze 7 tys. ha. Wzlawszy pod uwagę fakt, że w trakcie scalania 1000 ha zyskuje się tytułem zlikwidowanych między 40 ha, sprawa jest niebagatelna. Ale też nielata. Bo we władaniu PFZ znajduje się 5 tys. ha podzielonych na 11 tys. działek i każdy dyrektor SKR lub PGR mówi: „Ja nie chce tych 5 ha, bo one leżą 10 km od bazy”. Albo — jak scalać 15 działek po 20 arów każda, rozrzuconych po całej wsi? Scalenia można przeprowadzać tam, gdzie jest to gospodarczo uzasadnione. Bo w małych gospodarstwach, takich do 0,5 ha, przeważnie chłopo-robotniczych, można znaleźć wiele rezerw. Można tam wyhodować świnkę, cielaka, uprawiać truskawki, których mamy za mało oraz pracochłonne warzywa, byle tylko nie brakowało narzędzi specjalistycznych do tych upraw.

Odczuwamy kłopoty nasienne, chociaż kiedyś byłymy eksporterem nasion, słuszne by więc było, żeby Centrala Nasienna i „Herbapol” zaczęły małe gospodarstwa do unikajnej produkcji nasion.

Na uwagę zasługuje też hodowla drobnego inwentarza, przede wszystkim królików, których eksportowa ubojnia w Ksawerowie skupuje wciąż za mało. Interes jest korzystny, bowiem hodowca otrzymuje materiały budowlane, pożywkę, a samice zarodowe kupuje z 60 proc. bonifikatą. Jest nie do uwierzenia, ale sprawdzić, że w ramach kontraktacji hodowca może uzyskać rocznie tylko z jednego gniazda od 7 do 8 tys. zł dochołu.

W niektórych gminach aglomeracji łódzkiej zaczyna się dostrzegać głód ziemi, co na pewno cieszy bardzo władze wojewódzkie. Tymczasem spotykam w moich reporterskich penetracjach rolników, którzy posiadają umowy zawarte z zakładami ceramicznymi. Jedna z klauzul mówi, że po wyczerpaniu zasobów gliny cegielnia zwróci rolnikowi teren zniwelowany. Mija po kilka lat od zakończenia eksploatacji, hektary ziemi leżą rozbebeszone, cegielnia kopie z drugiej strony wsi, a kiedy rolnik zwraca się o pomoc do gminy, otrzymuje odpowiedź, że jak sprzedał cegielni ziemię, to musi się procesować o zniwelowanie.

Wydaje się, że naczelnicy winni być bardziej czujni i nie dopuszczać do takich sytuacji, a przede wszystkim bronić rolnika, który pragnie wykorzystać każdy skrawek ziemi.

Widzę także wiele gospodarstw małych i tak wąskich, że nie ma do nich wjazdu od drogi. Jeżeli właściciel jest w podeszłym wieku, nie ma następcy, a sąsiad nie chce od niego kupić ziemi, zwraca się do gminy. Tam patrzą w plan i oświadcniają, że ze względu na brak dojazdu gmina nie może przejąć ziemi.

Jeżeli już teraz obserwuje się takie przypadki, to co będzie, gdy w przyszłym roku sypną się renty i emerytury. Nie wiadomo jeszcze, ile ich będzie, ile ziemi przejdzie do PFZ, ale na pewno będzie tego sporo i obawiam się, czy władze gminne będą w stanie zagospodarować przekazywane grunty.

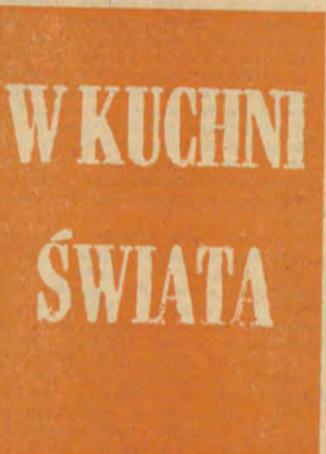
W obliczu specyficznych, trudnych warunków łódzkiego rolnictwa, w dniach ogólnonarodowej dyskusji nad tezami na VIII Zjazd sprawa intensyfikacji produkcji rolnej nabiera szczególnej wagi i dlatego już teraz należy z troską, bardzo wnikliwie przyrzeć się każdemu najdrobniejszemu gospodarstwu i pomyśleć o jego dalszym losie.

Głód towarzyszy ludziom od zarania świata. Nawet antyczny Rzym, będąc u szczytu potęgi politycznej, korzystał z dostaw zboża z Sycylii i Egiptu. Ale kiedy dowóz zawodził, pojawiał się lokalny głód. Jeszcze silniej i częściej dawały znać o sobie wielkie głody w wiekach średnich i od pierwszych dziesięcioleci naszej ery, aż po wiek XIX. Dramatycznie przeżywała klęski głodu ludność klasycznych obszarów niedostatku na kontynencie azjatyckim — w Chinach, Indiach, Persji, Turcji. Przykłady można by mnożyć bez końca.

Katastrofalne klęski głodu i towarzyszące im epidemie dziesiątkowały narody, pustoszyły całe kraje, pojawiając się co jakiś czas na całej przestrzeni dziejów ludzkości, chociaż liczba mieszkańców Ziemi stanowiła podówczas znikomą ułamek obecnej wielkości, uważanej przez wielu ekonomistów i polityków za główną przyczynę tego stanu wyżywienia licznych społeczeństw współczesnych. Czy rzeczywiście istnieją granice produkcji żywności dla wciąż rosnącej liczby mieszkańców Ziemi? Odpowiedź na to pytanie o kapitalnym znaczeniu dla współczesnego i przyszłego świata stanowi przewodnią myśl obszernego studium naukowego prof. dr hab. Tadeusza Olszewskiego pt. „Współczesne problemy gospodarki żywnościowej świata”.

Autor studium dowodzi, że dziś wielkie głody są przede wszystkim konsekwencją kataklizmów, natomiast w zasadniczy sposób zmalała śmiertelność powodowana tą straszliwą klęską, dzięki postępującym zdobyciom nauki i techniki. W ostatnich stu latach, mimo lawinowego wzrostu liczby mieszkańców Ziemi, powszechne głody w Europie zdarzały się już tylko sporadycznie i na ogół w wyniku nadzwyczajnych zdarzeń politycznych. Częstotliwość klęsk głodowych zmniejszyła się także i w innych rejonach świata, a ich za-

sięg przestrzenny ograniczał się przeważnie do obszarów dotkniętych kataklizmami przyrodniczymi, takimi jak powodzie, trzęsienia ziemi, długotrwałe suszy lub wojny domowe. Niestety, nie oznacza to, iżby problem wyżywienia ludzi na świecie został już rozwią-



zany lub zbliżał się ku rozwiązaniu. Niemniej, analiza dziejów głodu na Ziemi ujawnia zjawisko wręcz zaskakujące: częstotliwość i natężenie klęsk głodu maleją wraz z rosnącą liczbą ludzi, a ogólna sytuacja żywnościowa mieszkańców naszego globu jest dziś lepsza niż była kilkaset lat temu!

„Stwierdzone fakty — pisze prof. T. Olszewski — nie tylko przeświadczyły, że w przyrodzie nie ma takich barier, które by uniemożliwiały wystarczającą produkcję żywności nawet dla takiej liczby ludzi na Ziemi, jaką przewidują najbardziej dynamiczne prognozy demografów. Potencjału biologicznego roślin nie ogranicza bowiem ich struktura molekularna. Jest on tak olbrzymi, że nawet niewielkie zwiększenie jego wykorzystania w rolnictwie może stymulować ogromną wprost wydajność gleby i obfitą produkcję żywności dla wszystkich mieszkańców Ziemi. Granic nie narzucają także niewyczerpalne zasoby światła i ciepła słonecznego, niezależnego, lecz niezależnego od człowieka czynnika energetycznego pierwotnej produkcji biomasy. Równie istotne składniki pokarmowe gleby i należyte w niej stosunki wodne mogą już być modyfikowane przez człowieka zgodnie z potrzebami gospodarki żywnościowej społeczeństw.

Optymistyczne perspektywy ograniczone, niestety, polityką reakcyjnych grup rządzących wieloma narodami, które zamiast rozwijać produkcję żywnościową, trwonią nieprzebrane środki na zbrojenia, tzn. na narzędzia zniszczenia samego człowieka i jego sił wytwórczych. Dlatego też mieszkańcy ogromnej liczby krajów niezamożnych na całym świecie, choć rzadko obecnie umierają bezpośrednio z głodu, to jednak odżywiają się na poziomie niegodnym współczesności. Nawet w społeczeństwach burżuazyjnych liczne warstwy ludności nie mogą do woli korzystać z obfitości rynkowej podaży żywności, gdyż brak im na to środków finansowych. W tak bogatym kraju, jak Stany Zjednoczone, 35-40 proc. mieszkańców odżywia się poniżej wymaganych standardów.

Mimo budzącej sprzeciw sytuacji współczesnej, rodzaj ludzki może oczekiwać przyszłości z otuchą. Idee rewolucjonizujące egzystencję i sposób zachowań ludzkich nie przejawiają się przypadkowo, lecz stanowią emanację zmasowanych konieczności społecznych. Powszechna socjalizacja przedmiotów i środków produkcji, planowe i systematyczne ich sterowanie na zaspokajanie potrzeb ludzkich umożliwią ludziom dostateczne wyżywienie, zanim nauka i technika stworzą podstawy do ogólnoswiatowego systemu gospodarki obfitości.

Autor studium, analizując problemy gospodarki żywnościowej świata, kreśli realne, ale i optymistyczne zarazem perspektywy wyżywienia nieustannie rosnącej liczby ludności na kuli ziemskiej. Wychodzi przy tym z założenia, iż nie ulega wątpliwości, chociaż nie dostrzegając tego pesymistyczni futurologowie, że wzrost populacji ludzkiej oznacza nie tylko powiększenie liczby konsumentów, lecz także liczby producentów żywności. I fakt ten jest tym bardziej godny uwagi, że wraz z licbowym wzrostem wytwórców zwiększa się także ich zdolność i efektywność produkcyjna.

Prof. T. Olszewski ujmuje obszerne i złożone zagadnienia gospodarki żywnościowej świata w skali globalnej. W najobszerniejszym rozdziale tej pracy autor przeprowadza analizę gospodarki rolno-żywnościowej w poszczególnych makroregionach świata, ustalonych przez Światową Organizację do Spraw Wyżywienia (UN FAO). Mimo bogatego instrumentalnego warsztatu naukowego — licznych wykresów, tabel, zestawień, liczb i wypływających z nich wniosków, też nie raz ujętych w zaskakujące liczby — dzieło prof. T. Olszewskiego, cenionego specjalisty z geografii ekonomicznej oraz ekonomiki regionalnej i przestrzennej, czyta się z żywym zainteresowaniem, kończąc zaś analizę „Refleksje” — z głęboką emocją.

Rozległa wiedza, szerokie i świeże spojrzenie na problem nr 1 ludzkości, będący przedmiotem i treścią pracy, aktualność poruszanej problematyki, przejrzystość konstrukcji studium, walory semantyczne i szereg innych zalet stawiają „Współczesne problemy gospodarki żywnościowej świata” w rzędzie tych prac naukowych, z którymi powinien się zapoznać każdy, kogo interesują istotne problemy współczesnego świata. Studium wydano poza planem wydawnictwa, ze specjalnej dotacji Komisji Planowania Gospodarczego przy Radzie Ministrów. Fakt ten podkreśla dodatkowo wysoka rangę analizowanych problemów i aktualność omawianej publikacji.

WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

Tadeusz Olszewski, „Współczesne problemy gospodarki żywnościowej świata”, Państwowe Wydawnictwa Ekonomiczne, W-wa 1978.

Droga mknie — bo słowo biegnie nie nadaje się do oddania wrażeń podróżniczych z okna auta. Więc mknie droga wśród obłych wzgórz, gestych łąk i jeszcze gęstszych lasów. Droga mknie wzdłuż przepaśnej krainy, którą Niemiec, jak myśliwi sprzed ostatniego zajazdu, znał tylko po wierzchu. Wówczas te obronne trzęsawice kryły w gębiach maceczniki wolności — bazy najsilniejszej, obok polskiej i serbskiej, partyzantki. Patrzą przez szy-

czy trzydziestu latami stary swój dramat... A teraz oto nadbiega ku mnie z odległości czasu, jak kiedyś ku obozującym tu gdzieś blisko szosy leśnym, po której idziemy, z odległości podmoskiewskiej linii frontowej tamten przejmujący wiersz Janki Kupala: *Partizany, partizany, białoruskie syny. I placze w galeziach drzew przepiękny, świeżo położony przeze mnie wiersz Maksima Tanka ze starym toposem Piety. Matka żegna w nim konającego z*

na, tamte złamane w pół pnie, kikuty kolumn, co z bliska okazały się kominami nie istniejących chat... tamte, powiadam, pnie lekko potrząsały dzwonami. Rozlegały się co minutę. Dzwoniły zaś wcale nie patetycznie i nie prosząco. Dzwoniły ostrzegawczo i wyrażały najszlachetniejszy rodzaj żalu — żal cichy. A to, co z dala brać można było za obrzeżone kamiennymi pasami rabaty, okazały się podmurówką spalonych tu chat. A te utrwalone zgłiszczą u-

kumbowych na Powązkach. A to już było skojarzenie prawie bliskie. Mam przed sobą ściany-pomniki. Nie, nie głodujące (hitlerowcy rozwiązywały problemy znacznie taniej), palonych bez wielkich ceregieli miast. Na każdej ścianie podana wieczności strasna statystyka: pomordowani, sturutowani — kobiety, dzieci, starcy... Mijam białe tablice. Oto Bieriestowica, czyli przedwojenna Brzostowica — w której zostawiłem spokrewnioną z nami przezacną rodzinę Minkiewiczów. Oto Baranowicze — tu o wrześniu detonacje bomb oderwały moją siostrę od przygotowywania konspktów lekcyjnych (wszak po przeluzonych przez Ministerstwo WRIOP wakacjach nauka miała się niebawem zacząć). Stanął oto przede mną, by odtąd zjawiać się w snach, ramię przy ramieniu z moimi zabitymi przyjaciółmi, kolegami szkolnymi i towarzyszami konspiracji zamęczony przez okupanta tutaj i gdziekolwiek na ziemi, Człowiek Kamińskiego — odczłowieczona przez plomien sylweta jednego z pięćdziesięciu milionów ludzi zabitych lub ciężko rannych przez wzięcie zaczajone w człowieku je w doktrynie. Ta wyniosła rzeźba dłuta Sielichanowa powstała w 1969 jako pierwsza w kraju nad Swisłoczą realizacja pomnikowa właśnie aktualną ekspresją wyobraźni nowoczesnego człowieka — człowieka, który niesie przez życie zakodowany

w swej psychice szok z epoki kreatorów, atomu i nowego wspaniałego świata Czerwonych Khmerów. Jakżeż ten Kamiński przypomina Człowieka z Wydartym Sercem Ossipa Zetkine w Rotterdamie, (Ossip Zetkine, o ile wiem, rzeźbę tę zamierzał ofiarować początkowo zburzonej Warszawie. Niestety, osoby decydujące wówczas w tejlicznych sprawach w rzeźbie Człowiek z Wydartym Sercem dopatrywały się formalizmu. Daru nie przyjęto), a ten tu rozległy cmentarz z pomnikami osmalonych kominów księżycową pustynią Rotterdamu na miejscu śródmieścia startego z powierzchni ziemi przez dywanowe bombardowanie. Nie myślę w tej chwili o wpływach i zależnościach, choć niewatpliwie Sielichow — człowiek o wielkiej kulturze artystycznej i rzeźbiar z indywidualnością nie wyjąłową przez lata dyktatury schematu — nie mógł nie znać choćby z reprodukcji dzieła wybitnego rzeźbiarza francuskiego, z pochodzenia Rosjanina — rzeźby, która obok *Guerniki* Picassa i krucyfiksu *Chrystusa z Dachau* w kaplicy katedry erfurckiej czy niesamowitych, emanujących apokaliptyczną grozą bloków kamiennych na miejscu obozu zagłady w Treblince oraz litewskiej Matki z Pircziupiru należy do najpotężniejszych oskarżeń wojny i nazizmu przez sztukę.

TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

# ONI ZE SPALONYCH WSI

bę woigi na mijane lasy i widzę dwa lasy i dwie rzeczywistości naraz. Te rzeczywistości pochwytną oczami, wyrazistą, zbrojną tysiącem zapachów, ogłaszającą się ptasimi hasłami. I druga — zniechęcająca w czasie odeszłym, o zamazanych konturach i tylko o barwach widma. Skrawek jej przechowuję we własnej pamięci, z czasów gdy byłam tu *häftlingiem* Organizacji Todta. Krótko, bo udało mi się z powrotem zwiad do Guberni po popiłowaniu pała drewnianego mostku na szosie przez Jurkę. Jej niezmiernie obszarzy wciąż płoną i strzelają. W pamięci zapożyczony od tych, którzy pamięć własną utrwalił i przekazał ludziom czasu przemijającego i czasu nadchodzącego. I oto teraz, gdy nasza droga mknie (bo słowo biegnie nadaje się tylko do oddawania wrażeń komunikacyjnych XIX wieku), przez te lasy — lasy rozpoczynają szczególnie gwałtowną i niesamowitą strzelaninę, zanoszą się krzykami, płaczem i płaczem wewnętrznym i absolutną ciszą, którą medycyna nazywa śmiercią, a religia życiem wiecznym. W myślach ożywają i przesłaniają coraz bardziej pejzaż oglądany, a raczej wypełniają go obrazy ze zwartych aż do bólu, znakomicie spointowanych opowiadań mego białoruskiego przyjaciela Janki Bryla. I sceny ze zmagania się nie tylko z wrogiem, lecz ze słabościami natury ludzkiej i niehumanitarnym zmezczeniem — bohaterów powieści znakomitego psychologa Bykawa i — kto wie czy nie przenoszącego go mimo wszystko jeszcze większą sprawnością warsztatu i umiejętnością drażenia bardzo głębokich warstw psychiki ludzkiej — Alesia Adamowicza. I znowu przeżywam tamten smutny, obciążony poczuciem winy i grzechu romans partyzancki ze *Śnieżnych ślim* Iwana Szamiakina. Powiedziałbym, że przeżywam go w tej chwili nie jak klasyczny czytelnik, ale jak powiemy, balladowy świadek, co zakradłszy się do nawiedzanego lasu podgląda spotkanie duchów odgrywających po wiekach

upływu krwi partyzanta: *Dobranoc, synku, dobranoc. Lecz nie ta dobranoc co na noc, jeno na wiek.*

Przykro mi, ale Kurhan Sławy, miejsce połączenia się na przedpolach Mińska czterech frontów radzieckich przed uderzeniem wyswobadzającym Polskę i narody na południe od Karpat, nie wywarł na mnie oczekiwanego wrażenia. A przecież jest przepięknie usytuowany na otwartej przestrzeni, wyniosły, z daleka widoczny. Jeszcze jeden statyczny monument w duchu akademizmu epoki uroczystego patosu.

Tym silniejsze wrażenie wywarł spalony Chatyn. Ujechalimy od Slobody kilkanaście kilometrów i znowu otwarta przestrzeń. Tym razem wypełniona niskimi kamiennymi słupami, wyglądającymi z dala od szosy jak skamieniałe drzewa. A może raczej jak oczyszczone z popiołów kikuty pompejańskich kolumn. Przeszłość przetrwała przez środek żułłowa droga. Tą drogą szedł nam naprzeciw — bo tak to wyglądało, choć w rzeczy samej a tylko myśmy się zbliżali — więc szedł nam naprzeciw człowiek-żużel. Ogromny żużel ludzki, o pustych oczodołach, o rękach bez skóry: tylko samo spieczone na burawą czerń zaskwarzałe mięso. Ogromne ręce — żułłowe kikuty dźwigiły ciało syna zmieniłego w żużel. Czy żeby złożyć je u naszych nóg, czy też podnieść jeszcze wyżej, na świat cieli — jak napisał przed przeszło półwiekiem Janka Kupala. Ale autor *A chito tam idzie* ukazał wtedy całemu światu jedynie brzemie krzywd społecznych, godzących (poza ekstremalnymi wypadkami) li tylko w jakość życia, nie zaś w życie samo. A gdy idąc bez ruchu ku nam spżówce wcielenie dziadki Kamińskiego — jedynego ocalałego spośród spalonych żywcem mieszkańców Chatynia... więc gdy tak idące bez ruchu ku nam wcielenie umarłego starca niosło na rękach rozpostarty żużel sy-

osabiali wszystkie chaty i węgly domów, gdziekolwiek się znajdowały: od Szczary do Uswiaczy oraz na wschód i zachód od tych rzek, wszędzie, gdzie przeszły stopy wiadomego widoziada. Przez wieś i miasta. Więc miasta! Oto jaśnieją z boku, na obrzeżu doszczętnie wydmkniętej wsi — białokamienne mury. Można je z daleka wziąć od biedy za mury ogardzające wielkopolską rezydencję. Z odległości bliższej zaczęły jednak przypominać ściany hal kata-



Foto: Archiwum

chowania zmarłych — żalach lub żalnikach, którymi to określeniami jeszcze gdzieśgdzieś ludność nazywa wielowiekowe cmentarzyska. Także i w czasach późniejszych gromadząca się na cmentarzach ludność przynosiła zmarłym jadło i w blaskach świateł, wśród modlitw, zaklęć i różnych praktyk przyzywała ich duchy. W XIV i XV wieku gromili kaznodzieje swych słuchaczy, aby nie palił ognisk gorejących ku pamięci dusz ich bliskich.

Z kultem zmarłych wiązała się pamięć o przodkach, przechowywana pieczołowicie z pokolenia na pokolenie. W obrębie panującej dynastii piastowskiej potrafiłono w początkach XII stulecia wyliczyć imiona przodków jeszcze z IX wieku, aż trzech pogańskich pokoleń poprzedzających Mieszka I. W każdej zaś rodzinie trwała pamięć co najmniej o imieniu przadziada.

Na tematyce dawnych obrzędów słowiańskich, sięgających czasów po-

lym praktykowany był nie tylko wśród Słowian, ale przez wszystkie ludy niecywilizowane. W Europie znany był już w starożytności i wiązał się z powszechnym przeświadczeniem o obecności dusz zmarłych podczas obchodów im poświęconych. Mimo kultu przodków, realistyczne wyobrażenie sobie życia pozagrobowego było przyczyną obaw przed powrotem zmarłego do grona ży-

chami oborywano cmentarze. Miało to chronić przed złem, lub nie wypuszczać zła ze swego obrębu.

Prawdopodobnie w odległych czasach przedchrześcijańskich obrzędy związane z kultem zmarłych występowały kilka razy do roku. Kościół katolicki starał się związać te obrzędy z jednym dniem — z Zaduszkami (popularna nazwa dnia zadusznego) i nadał im charakter chrześcijański. Wprowadzając Zaduszki jako Święto Zmarłych w końcu X stulecia, miał on na celu wyparcie względnie częściowe zaadaptowanie dawnych wierzeń i zwyczajów ku czci zmarłych.

Choć stare obrzędy stopniowo zanikały, to jednak przez długie wieki mieszały się jeszcze dawne wierzenia i zwyczaje przedchrześcijańskie z nowymi, które ustalał Kościół. Dawne obrzędy przedchrześcijańskie ku czci zmarłych utrzymywały się najdłużej, w stosunkowo mało zmienionej formie, u wyznających prawosławie Słowian wschodnich i południowych. Pewne elementy tych obrzędów przetrwały długie stulecia także i w Polsce.

Według wierzeń ludowych, których echa istnieją u nas jeszcze gdzieśgdzieś do dziś, w przeddzień Zaduszek, tj. we Wszystkich Świętych, zmarli opuszczali groby. Widywano ich ponoć w pobliżu cmentarzy, przed kościołami i podczas obchodzenia swoich domostw. Po zapadnięciu zmroku starano się nie wychodzić z domów, pustozwały wówczas drogi oraz ulice wsi i miast,

Z przygotowanej do druku książki „Podróże staroświeckie”

gdyż noc z 1 na 2 listopada napawała przestrachem ludzi minionych czasów. Wieczorem na stole bądź ławie rozkładano nakrycie w postaci ręcznika lub obrusa i ustawiano na nich pożywienie (najczęściej pieczywo i sól) dla zmarłych. Noszono też produkty żywnościowe względnie niewielkie ilości zboża na groby.

Jeszcze w ubiegłym stuleciu w niektórych wsiach, leżących na terenie Polski środkowej, zachował się zwyczaj stawiania jądla na grobach zmarłych. Wspomina o tym między innymi prof. dr Bohdan Baranowski w swej interesującej, wydanej w roku 1969, pracy pt. *Życie codzienne wsi między Wartą a Pilicą w XIX wieku*.

Kościół zwalczał te pozostałości pogańskich przeszłości lub starał się je przekształcać. Zamiast dostarczać jadło na groby, coraz częściej w Zaduszki gospodynie przynosiły w wężelkach albo koszyczkach żywność dawali ludziom biednym, głównie żebrakom, których nie brakowało w tym dniu przy bramach cmentarnych. *Wielka Encyklopedia Powszechna Ilustrowana* z roku 1896 tak pisze na ten temat: *W Polsce przedchrześcijańskie święto dziadów czyli przodków utonęło w obchodach kościelnych: ślad jego pozostał w zwyczaju pieczenia bułeczek w dzień zaduszy, zwanych tatarszczami, perebuszczami, przytyczkami dla dziadów tj żebraków; odtąd mniemać wolno, że nie dla dziadów w znaczeniu żebraków, lecz dla przadków je dawniej przeznaczano. W czasie Zaduszek składano na ręce księdza lub organisty pieniądze na tzw. wypominki.*

Takie to zwyczaje i wierzenia związane z kultem zmarłych istniały dawniej w naszym kraju, a w tym i na obecnych terenach środkowopolskich. O tych wierzeniach i zwyczajach nie należy zapominać, gdyż stanowią one cenne świadectwo o życiu naszych przodków i wiążą się z powinnymi, dzisiaj stosowanymi formami czczenia pamięci zmarłych.

Kiedy w listopadowe Święto Zmarłych odwiedzamy groby naszych bliskich, aby uczcić ich pamięć, nie zawsze zdajemy sobie sprawę z tego, że zwyczaj palenia świateł na ubranych kwiatami grobach jest w znacznym stopniu pozostałością dawnych uroczystych obchodów zwanych Dziadami. Były to obrzędy ku czci duchów przodków, mające jednocześnie zapewnić spokój zmarłym.

Słowianie wierzyli w istnienie duszy (i to nie tylko u ludzi, ale także i u zwierząt). Duszę wyobrażano sobie w sposób realistyczny pod postacią ptaka, motyla, pszczoły, światełka itp., lub jako odmaterializowany sobowót człowieka (widmo, mara). Na najstarszym zachowanym polskim zabytku plastyki nagrobkowej — wspaniałej płycie kamiennej pochodzącej z XII wieku, a znajdującej się w kolegiacie tumskiej pod Łęczycą — duszę zmarłej osoby dorosłej (rycerza w krótkiej tunice, z

gańskich, oparł Adam Mickiewicz część drugą dramatu „Dziady”. W przedmowie, w której autor zamieścił zwięzłą charakterystykę obrzędów ku czci zmarłych, czytamy: *pospółstwo święci Dziady tajemnie w kaplicach lub pustych domach niedaleko cmentarza. Zastawia się tam pospółcie ucza z rozmaitego jada, trunków, owoców i wywołuje się dusze nieboszczyków... Dziady nasze mają to szczególnie, iż obrzędy pogańskie pomieszane są z wyobrażeniami religii chrześcijańskiej, zwiaszcza iż dzień zaduszy przypada około czasu tej uroczystości. Pospółstwo rozumie, iż potrawami, napojami i śpiewami przynosi ulgę duszom czyśćcowym. Tu warto zaznaczyć, że zwyczaj składania posiłków zmar-*

wych. Już znaczna część obrządku pogrzebowego miała na celu utrudnienie czy też uniemożliwienie tego powrotu. Krańcowym tego przykładem były zabiegi wobec zmarłych posiadanych o wampiryzm.

Szczególne właściwości jako apotropeje (środki do ochrony przed złem ze strony duchów, przyrody i ludzi) miały przedmioty ostre lub klujące. Poważną rolę odgrywał tu również ogień i okadzanie. Przed wampirami broniono się przez ucinanie głowy zmarłemu, przebijanie go kółkiem osikowym itp. Duże znaczenie przypisywano też kregom, którymi otaczano chroniony obszar. Krag magiczny stanowiły między innymi koliste obstawy kamienne wokół grobu. W obawie przed złymi du-

HENRYK SZUBERT

# Z ZADUSZKOWYCH TRADYCJI

drzewkiem u stóp, jako symbolem życia), przedstawione w postaci dziecka, unoszonego przez anioła.

Wiele dawnych obrzędów wiązało się z czcią dusz zmarłych i wiarą w życie pozagrobowe. Słowianie uważali, że życie pozagrobowe stanowi kontynuację życia ziemskiego i dlatego też starali się zapewnić zmarłym zaspokojenie ich materialnych potrzeb. Stąd naczynia z jadem w pochówkach lub na powierzchni grobów, wyposażenie zmarłych w broń, ozdoby stroju, ale bardzo rzadko w narzędzia pracy.

Od zamierzchłych czasów na naszych ziemiach był silnie rozwinięty kult przodków. Oddawano im cześć, przywołując ich, paląc ogień i sprawując ucztę ofiarne na miejscach

Z ogromnym, naprawdę, trudem, ale jakos przecież — nie za pięknie, wiem, ale czas, czas naglił — zdołałem zacerować nieprzewidzianą w narracji dziurę. Sama ona — mówię w dalszym ciągu o narracji — wężłasta jest, szorstka, choć nie zgrzebna. I mimo że z jednego tworzywa utkana — czyli jednaka jest jej faktura — nie wolno mi jej nazwać zgrzebną. Dlaczego? Ja nie wiem.

Andrzej Grabowski — nadal na obrazach, od dwu lat w lwiej części omal zupełnie malowanych przez Harasimowicza, podpisujący się imionami Jędrzej Bronisław — wszedłszy w ostatni — acz nie będzie on trwał do końca życia — okres alkoholicznych upojów, tłumaczonych przez siebie potrzebami duszy, już w głos i w szum wobec zdaje się wyprowadzać ewidencję nieszczęść i samobójstw artystów, z którymi bądź się zetknął, bądź też znał — jako o wiele młodszych — z informacją kolegów, zazwyczaj podczas pobytu w krakowskim Towarzystwie Sztuk Pięknych.

Parys Filippi, słynny, tryskający humorem rzeźbiarz, autor zresztą pomnika na grobie Grottgera, w wielu lat trzydziestu ośmiu opuszczając Lwów (gdzie wiele swych dzieł pozostawił), przez Kraków (gdzie także wiele dzieł pozostawił) i Wiedeń (gdzie wcześniej parę dobrych lat zabawił) udał się do Warszawy — aby tam rychło samobójstwo popełnić.

Oto znany malarz zabytkowych wnętrz, Aleksander Gryglewski, przyjaciel, pomocnik i doradca w sprawach perspektywy Matejki (wykreślił mu perspektywę między innymi w „Kazaniu Skargi”, w „Rejtanie”) w wielu lat czterdziestu sześciu przeniósł się z Krakowa, gdzie wykładał w Szkole Sztuk Pięknych, do Gdańska; natychmiast stracił tam kochankę i kochającą żonę; w początkowy nastrój depresji i melancholii wkradła się prześladowcza mania; wkradła się ona nagle, opanowała malarza; miał on przywidzenia, iż jest ścigany, prześladowany ciągle przez policję; że oto ma być uwięziony. Gryglewski trwoży się każdą rzeczą najblizszą, każda osoba obca zdaje mu się podejrzana; przypatruje się temu z rozpaczą dwoje jego dzieci. Wnętrze wspaniałej ratuszowej sali, czeka na swoje podziemie mistrza uwiecznienie; Gryglewski udaje się w stronę ratusza, rozdrażniony mocno — bliskim obiecuje powrócić do domu; powtarza z naciskiem: „Powrócę do domu”. Otwiera okno ratuszowej sali; wyskoczywszy z drugiego piętra, zabija się na mieczu.

Cyprian Kamil Norwid przebywa w paryskim zakładzie opiekuńczym.

Kazimierz Szolc, młodzieńki, prześladowany nie wiadomo od kąd przez nędzę, własną ręką życia swemu zadaje kres.

Ceniony architekt Antoni Łuszczkiewicz traci życie, upadając, podczas prac wykończeniowych gmachu Uniwersytetu Jagiellońskiego.

W wieku 28 lat, od siedemnastu miesięcy nekany skutkami pleurozy, w najpełniejszym dla jego talentu czasie umiera w Reichenhall, w dwa tygodnie przed skłonem otrzymanym wiadomości o mianowaniu go członkiem Akademii Berlińskiej, Maksymilian Gierymski.

Stanisław Chlebowski, w pełni sił malarz, który przez lata całe przebywał w sułtana i staniąd, żałośny intrygami, wyjechał w dostatkach do kraju, kończy życie sparaliżowany, niemy, spadłszy z rusztowania olbrzymiego obrazu.

A Maurycy Gottlieb, chłonący jak mało kto świat, wybitny malarz, przebiewszy się, zapada nagle na gardło i ku smutkowi mistrza Matejki, najwinnie chcącego mieć w nim swego następcę (nie ma ludzi niezastąpionych, to jedno; Gottlieb kochał życie, Matejko Polskę, to drugie), umiera po gardlanej operacji w wieku lat 24 w szpitalu św. Łazarza na rękach swej żydowskiej narzeczonej, a naśladowcy-falszerze jego przedziwnych obrazów już przemysłają, jak na tym ubić interes...

Zdrowi, prawidłowo się odżywiający obserwatorzy widują we Lwowie Grabowskiego, jak kroczy szeroko, trzymając między palcami lewej ręki cygara, okulary i pieniądze; są akuratnymi świadkami, jak w przystępie wędzanego humoru odpada on od banknotu — nie tylko sobie — cygara, lecz Maika — tak; wiedzą, że istnieje kobieta, że od pierwszego kontaktu z malarzem do chwili obecnej przybyło jej siedem na pewno zmarszczek — lecz by ktoś ją z nim widział, ba! by ktoś wiedział, kto ona, jak dokładnie wygląda, skąd jest — na to zbyt mało było w „szpakownikach” fantazji; zbyt mało, by to napręde i bez żywego modelu wymyślić. Fakt, iż na wystawach niezłe swe kopie starego weneckiego i włoskiego wiedeńskiego malarstwa sygnuje ona jako uczennica A. Grabowskiego, zbyt kruchy jest, acz nie wygląda na mistyfikację.

Czas pedzi; jest rok tysiąc osiemset osiemdziesiąty szósty. Maika lekkostrapa, tak trudna do dostrzeżenia jej na ulicy w porach, które, co się tu oszukiwać, sjęste, czyli „poleganie” dla mieszkańców stanowią, bywa teraz u malarza każdego dnia; trzydziestotrzyletnia kobieta, z pasmem wąskimi już siwych zupełnie przez środek oranżowej czerwieni włosów, zda się z dnia na dzień piękniejąca, ożywa jego nieco

już otyłe — ale otyłe gdzieś tam tylko — gdzieś tam skórokości, słabe ciało; Maika: rzetelna, zdolna malarzka, żona obecnie kupca Korna, ogłuchłego bogacza; piękna, nierozważna, bajeczna Maika.

— Teraz już zawsze ktoś przy mnie tu ma być.

— Wiem; szkoda, Jędrzeju; pożegnany się wkrótce.

— Wiem; umrę — zbliża się mój czas, Maiko; teraz nie myślę już: okrutne. Myślę o tym spokojnie: pewne. Skąd ty wiedziałas o tym, ostropleśna Maiko?

— Tak mi się wystrzyły. Dawniej, pamiętasz? nie były takie. Ale... ale, tak. Nie wiem; może mi się tak wtedy po prostu powiedziało.

— „Ot tak” ci się nie mogło powiedzieć? Czy może wiesz, jak tam jest?

— Dobrze.

— Skąd ty...?

— Nie pytaj mnie o to. Jesteśmy razem; szkoda chwili.

— Mam w tobie spokój.

— Tak — wiem to. Kiedy wyjeżdżacie?

— Jak tylko choć trochę siły odyskam. Wiem, że to nie ma sensu. Najchętniej pozostałabym tu — i z tobą.

— Wiesz, że to niemożliwe.

— Wiem, że ta podróż jest bez sensu.

— Inni nie wiedzą; ty wiesz — twoje bogactwo.

— Dziwne to wszystko. Wiesz, że mój brat w agonii?

— Młody; szkoda go.

— Szkoda go; o siedemnaście lat ode mnie młodszy; słaby malarz; ale wiesz — chory prawie od początku. Ale chyba nie. Patrz: taki Franek Streit — garbaty, ulomany; jako malarz — wspaniały; ten jego choćby „Pogrzeb ubogiego”. I ożenił się w Monachium, i pono szczęśliwy.

— To opuścił Kozakiewicza?

— Garbaty — i był w powoitanu. Garbaty. Kozakiewicz, prosty ciałem i szlachetny duchem, żył z nim lat ponad dwadzieścia; Streit przestał myśleć o garbie. Kozakiewicz — cudotwórca. Nie widziałem takiego drugiego. Cudotwórca. Ale czy ty może wiesz — ostrożnie głowę przechylił w jej stronę — a czy ty może wiesz, dziewczyno miła, że ja już jestem niczym?

— El Ni-o; ale! może ty już nie jesteś takim sprzed lat Jędrzejem Grabowskim, ale dlaczego akurat miałbyś być tamtym, co?

— Bo by to poświadczyło, że siłą jestem ludzką osobą.

— Albo o tym, żeś skostniał; żeś skamieniał.

— Ech, teoria to tylko, Maiko. Ze mnie już nie nie zostało. Ja źle się obchodziłem z życiem, i ono — bo jakże by inaczej — musiało mi odpłacić podobną monetą.

— Ono: życie i ona: moneta!!!

— Zardroszcze ci rzękości, Maiko. Może... A wiesz, wczoraj, dosłownie wczoraj, myślałem, że zardroszcze ci tylko młodość.

— Młodości możesz zardroszczyć pierwszej lepszej dziewczynie.

— No właśnie. Albo Harasimowiczowi — w odniesieniu, oczywiście, do mnie. I tylko tego mu mogę... Mówię ci, jestem tym bez wyrazu, tym, tym do niczego podobnym — niczym. Jestem — jestem tu — a tak jest, jakby mnie nigdzie nie było. Jak ja mogę jeszcze sygnować te złe portrety? Marcell Harasimowicz, choćby nauczył się malować poprawnie — nigdy nie będzie malował jak ja, rozumiesz?

— Nigdy! I ja — ja-nie-ja — podpisuję obrazy — obrazy-nigdy. Zabawne to, prawda? Zabawnel Tym tutaj we Lwowie ludziom — i także zupełnie nie wiem, co o nich myśleć — wystarczy moja w prawym dolnym rogu sygnatura, która, dla pewności, w mokrej jeszcze farbie uwieczniam ostrym i z drewna końcem pedzla.

— Płacę za twój podpis, za nazwisko; to już jest coś.

— No właśnie! Bzdury. Nic, nic, nic, nic — nie i nie. Jak widać, Harasimowicz, mimo że założył niedługo szkołę malarstwa dla kobiet, nie posiadając w robieniu portretów specjalnego wdziku mojego pedzla.

— I talentu twego pedzla przecież.

— Ach! gdybyż tu chodziło tylko o pedzell! Ale — ja już nie jestem tego tak pewny, jak kiedyś. Ale — on nie osiągnie. Przychodzi do malowanego przeze mnie, czyli — tajemnicza poliszynela — przez Harasimowicza, naturalnej wielkości portretu stara — wdowa i zdziwaczała — Ckuciczowa; rzecz ogłada, nie chce zapłacić „bardzo mojej” czyli wysokiej ceny, krzywi się — że niby nie jest „aż tak” podobna. I wtedy — ale zwał to: dla interesu — wychodzi ze mnie dawno nie używany podstarzały kpiarz, który radzi Ckuciczowej: — A może by pani swego boloczyka przyprowadzić kazala; jeśli on, zwierzątko przecież, ale! przywiązany, łaskawą panią pozna, wówczas rozwija się wszelkie obawy. — O! Ckuciczowa przystaje — do myśli się zapala, następnego dnia wkracza z boloczykiem, a wredne to zwierzątko, spuszczone na podłogę, z „radosnym kwileniem przemierza przestrzeń dzielącą je od portretu, pnie się do niego, ustawionego jak najniżej, gdzie z lubością — pisząc, piasząc się

i stękając — liże w zapamiętaniu dionie sportretowanej. — Mistrzem! mistrzem pan i cudotwórca! — wrzeszczy Ckuciczowa, ja zaś po swojemu, spokojnie, lecz z omal niedostrzegalnym, specjalnym dla kobiet — i, rzadziej, dla interesu dobicia — takim zgrzyleniem, takim grymasem ust, na nią spozieram zamglonymi zamyśleniem oczyma. Otrzymuję żądaną sumę, a gdy Ckuciczowa z głupim pieskiem odchodzi, rychło ścieram lekką terpentyną specjalny na rękach portretu, okiem niedostrzegalny czar — czyli fragmenty nasmarowane dobrze, natarte — kiełbasą. Dobrze! zacieram ręce; prawie ogładam jeden po drugim otrzymane pieniądze — złote monety — po czym podchodzę do okna, i tam flaczęje zupełnie; i tam ryknąłbym ostrym, z łzami, płaczem — gdybym to jeszcze potrafił. Nic ze mnie nie zostało; nic, nic — nie z młodzieńca płaczącego u kolan, na pierśsiach Grottgera. Jak myślisz, czy on się zupełnie rozłożył?

— Wiesz, że nie rozłoży się nigdy.

— Wiesz, że mi chodzi o ciało.

— Jak będziesz tak rozumował, to jeszcze trochę, i jedynym twoim marzeniem stanie się praca w mięsny sklep.

— O, nie powinnaś tak mówić; wiesz, że mi to szkodzi.

— Nie szkodzi.

— Co?

— Nie szkodzi, Jędrzeju; tobie to już nie szkodzi.

— I ty możesz tak mówić?

— Wiesz, że nie rozłoży się nigdy.

— Wiesz, że mi chodzi o ciało.

— Jak będziesz tak rozumował, to jeszcze trochę, i jedynym twoim marzeniem stanie się praca w mięsny sklep.

— O, nie powinnaś tak mówić; wiesz, że mi to szkodzi.

— Nie szkodzi.

— Co?

— Nie szkodzi, Jędrzeju; tobie to już nie szkodzi.

— I ty możesz tak mówić?

— Wiesz, że nie rozłoży się nigdy.

— Wiesz, że mi chodzi o ciało.

— Jak będziesz tak rozumował, to jeszcze trochę, i jedynym twoim marzeniem stanie się praca w mięsny sklep.

— O, nie powinnaś tak mówić; wiesz, że mi to szkodzi.

— Nie szkodzi.

— Co?

— Nie szkodzi, Jędrzeju; tobie to już nie szkodzi.

— I ty możesz tak mówić?

— Wiesz, że nie rozłoży się nigdy.

— Wiesz, że mi chodzi o ciało.

— Jak będziesz tak rozumował, to jeszcze trochę, i jedynym twoim marzeniem stanie się praca w mięsny sklep.

— O, nie powinnaś tak mówić; wiesz, że mi to szkodzi.

— Nie szkodzi.

— Co?

— Nie szkodzi, Jędrzeju; tobie to już nie szkodzi.

— I ty możesz tak mówić?

— Wiesz, że nie rozłoży się nigdy.

— Wiesz, że mi chodzi o ciało.

— Jak będziesz tak rozumował, to jeszcze trochę, i jedynym twoim marzeniem stanie się praca w mięsny sklep.

— O, nie powinnaś tak mówić; wiesz, że mi to szkodzi.

— Nie szkodzi.

— Co?

— Nie szkodzi, Jędrzeju; tobie to już nie szkodzi.

— I ty możesz tak mówić?

— Wiesz, że nie rozłoży się nigdy.

— Wiesz, że mi chodzi o ciało.

— Jak będziesz tak rozumował, to jeszcze trochę, i jedynym twoim marzeniem stanie się praca w mięsny sklep.

— O, nie powinnaś tak mówić; wiesz, że mi to szkodzi.

— Nie szkodzi.

— Co?

— Nie szkodzi, Jędrzeju; tobie to już nie szkodzi.

— I ty możesz tak mówić?

— Wiesz, że nie rozłoży się nigdy.

— Wiesz, że mi chodzi o ciało.

— Jak będziesz tak rozumował, to jeszcze trochę, i jedynym twoim marzeniem stanie się praca w mięsny sklep.

— O, nie powinnaś tak mówić; wiesz, że mi to szkodzi.

— Nie szkodzi.

— Co?

— Nie szkodzi, Jędrzeju; tobie to już nie szkodzi.

— I ty możesz tak mówić?

— Wiesz, że nie rozłoży się nigdy.

— Wiesz, że mi chodzi o ciało.

— Jak będziesz tak rozumował, to jeszcze trochę, i jedynym twoim marzeniem stanie się praca w mięsny sklep.

— O, nie powinnaś tak mówić; wiesz, że mi to szkodzi.

— Nie szkodzi.

— Co?

— Nie szkodzi, Jędrzeju; tobie to już nie szkodzi.

— I ty możesz tak mówić?

— Wiesz, że nie rozłoży się nigdy.

— Wiesz, że mi chodzi o ciało.

— Jak będziesz tak rozumował, to jeszcze trochę, i jedynym twoim marzeniem stanie się praca w mięsny sklep.

— O, nie powinnaś tak mówić; wiesz, że mi to szkodzi.

— Nie szkodzi.

— Co?

— Nie szkodzi, Jędrzeju; tobie to już nie szkodzi.

— I ty możesz tak mówić?

— Wiesz, że nie rozłoży się nigdy.

— Wiesz, że mi chodzi o ciało.

— Jak będziesz tak rozumował, to jeszcze trochę, i jedynym twoim marzeniem stanie się praca w mięsny sklep.

— O, nie powinnaś tak mówić; wiesz, że mi to szkodzi.

— Nie szkodzi.

— Co?

— Nie szkodzi, Jędrzeju; tobie to już nie szkodzi.

— I ty możesz tak mówić?

teżonym zwielokrotnieniem zbawczego rozdręgnięcia połowy lepszej, która w odniesieniu do owej gorzej kolosem w takim momencie jest.

— Tak; tylko że zaraz potem ta twoja zła połowa rechocze ziem swym za dwie! — Mocno po tym, co rzekł czysto i zdecydowanie, czym przecież przerwał Grabowskiemu, zacisnął wargi Marcell Harasimowicz. Zaciekle jednocześnie dębął przy swym pazoceku kieluka.

— Zadra! — Po czym mocno się kaszlem o tonie przykro i dziwnie wysokim zakrzuszył Jędrzej Grabowski.

— A... af.

— No co? zadra? Dlaczego nie odpowiadasz, kiedy zwyczajnie cię pytam, co?

— Tak, zadra; tak-lak, zadra — ogłosił ów szybko. — Dwie tam w przedpokoju czekają panie.

— No...?

— Chcę się wywiedzieć o twoje zdrowie.

— Są to:

— Wanda Monée Młodnicka i piękna siostra Grottgera — pani Maria Sawiczewska.

— A; przygotuj dla nich — tylko słuchaj uważnie — relację taką mniej więcej, to się ucieszą; Wybuch krwi miałem, wyglądam jak moriturus, albo jeszcze gorzej; stałem przy sztaludze onegdaj i kiedy strumień krwi lunął — możesz powiedzieć: jak z dzbanka — ja upadłem na ziemię i tam straciłem przytomność. Do cna! A... Parę godzin musiałem tak leżeć — aż dziw, że przyszedł do siebie; zmierzchnął — słynna godzina Leonarda — szarówka dobra.

— Ach, Jędrzej... Niepostrzeżenie musiał wejść tu obie wytworne kobiety, zważone zapewne także młym a przyzwalaającym gestem za chorem stojącego Harasimowicza. — Ach! nie musisz się już trudzić, słyszałyśmy; no, nie widać, żeby było aż tak źle, jak to próbowałeś opisać; chciałeś nas nastraszyć, czy ci się nie udało, serdeczko. Ty chyba w ogóle już przychodzisz do siebie... — Wanda Monée Młodnicka nie hamowała swego zapału; wzniósł się coraz bardziej jej zapał.

Cisza. Tłkanie dużego zegara zdawało się wprowadzać rytm regularny w rżenie świszczące chorych płuc Grabowskiego.

Młodnicka otworzyła usta; zatrzymał się na nich na chwil kilka uśmiech.

Zamarła twarz Harasimowicza, przysłaniając jednakoż płaską dionią usta, z czymś się zamierzał zwrócić do bladopięknej Sawiczewskiej — zaleknionej jakby.

Cisza.

Chory zatrząsł się cały; w jednym momencie zmierzwiła się pościel — refleksy światła pokrośliły na ten czas jej biel — z szumem zsunęła się na dywan.

Uniósł się; próbował podciągnąć nogi, lecz opadły one bezwładnie na pierś-erado.

Obydwe przed siebie wyciągnął ręce.

— Wyrzuc mi stąd te kurwy! Jedną zniszczyła Grottgera, a drugą zniszczyła mnie!

Długo trwał klangor bucików rędem zbiegających po schodach dam, które zbyt mało miały czasu, by zamknąć za sobą drzwi.

— Ale Sawiczewska? — Popatrzył na drzącego, bez koldry, w krótkiej białej koszuli tylko. — Ze Wanda Monée, to mogę zrozumieć, ale — Sawiczewska...?

— Bo ty nie wiesz. Bo mało kto wie. Może nikt. Tak, Sawiczewska. Piękna, piękna, piękna. No, podaj mi już te koldry!

Marcell Harasimowicz, osłupiały na długo zneruchomiał przed łóżkiem wybitnego malarza portretu.

Fragment powieści „Białe okno”, która ukaże się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.



Spojrzała na niego badawczo; musiał w owym spojrzeniu-geście dostrzec i nagane, i beznaście, więc smutku pełny niepokój — i może obcięte pusłki...

— Jutro — powiedział powoli — jutro od południa stanę przy sztaludze. Jeśli, jeśli, Maiko, będzie suchy, taki jak dzisiaj, dzień.

— No widzisz; więc stanie się tak; więc staniesz. Jutro się zapowiada dzień słoneczny, dobry. Wszak to już prawie czwerciek.

— Wszak! — Tak się zaśmiał Grabowski. — Wszak, wszak. Wszak.

Poblady — gdy leżał przykryty czystą, omal bez zmarszczek pościelą — twarz zdawał się mieć wkleśną. Mało, że z trudem, i z świsłem dla tu siedzącego Harasimowicza straszliwym, oddychał, to jeszcze kaszał — z najkrótszymi chwilami rzęzącej ciszy. Układ sprzętów, łisnąć tam gdzie nie było dywanów podłoga, staramie wykożone na stoliku lekarstwa, słowem; ład — wszystko to musiało poświadczyć o damskiej ręce, od kilku dni wystrójem — i pewnie nastrojem — tu zawiadującej. O ręce damskiej — lecz nie Mai-Maiki. Ostro zapach jakiegoś w maleńkiej butelce medykamentu zapanował nad przegryzioną tu, w saloniku obok pracowni, wonią tytoniowego dymu i wielości drewnianych sprzętów, przemieszana z szlachetnym w powietrzu powiewem żywicznych werniksów.

— Najpierw się to we mnie stało problematem, rzeczą główną; teraz już nawet problematem było przestało. I tak oto traktuję to jako oczywistość. Pewnik — powiedziałby niewątpliwie Jarema Pawilon, gdyby, oczywiście, nie leżał od wczoraj na Łyczakowskim cmentarzu. Na Boga! dlaczego ja muszę dzień w dzień, czyli codziennie, te sprawy ruszać; jeśli nawet nie śmierci w jej poważnej osobie, to zgrzebanictwa... Czy jeśli ktoś ma iść za tydzień do cyrku, to o tym cyrku nie przestaje myśleć? Dziwne. Dziwne całe to moje rozumowanie i ono przecie z rozumem tak bardzo niewiele — bardzo niewiele? — ma wspólnego. Wspólnego znajomego. I to, co wczoraj odprowadzony do ziemi Jarema Pawilon nazwałby pewnikiem, dało mi wreszcie spokój — to znaczy wiem, jaki jest wpływ cierpienia ciała na działalność spólną psychiki i rozumu. Otóż wpływ ten wyjątkowo jest destrukcyjny, ale — właśnie — z niewielikimi w ogólnym tonie źle podjętej szerokiej otworami pełnymi szczególnej — dosyć przecież matowej — jasności. Takie białe okno otwiera się niespodziewanie, właściwie nagle — i na krótko. Nie można sobie, nawet w najobrzydlawszej — lecz myślę tylko o chronicznej — chorobie, pozwalać na zasypianie momentu odświeżenia białego okna. Bo ono nieliczna jest radością, czyli — nie przesadzam — jedynym w moim, i nie tylko moim, stanie ukojeniem; „ukojeniem duszy” także, ale i ukojeniem bólu, zatrzymaniem wstrętnego rozdręgnięcia podłej połowy; na-

JANKA KUPAŁA

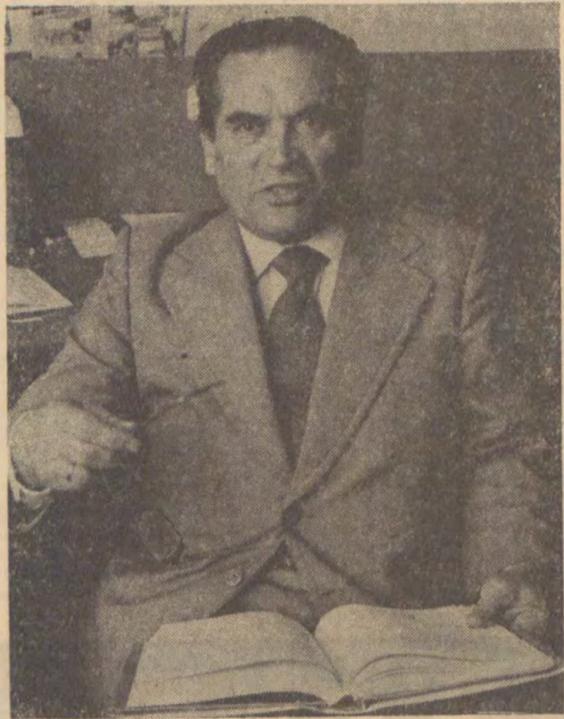
BÓR

Ciemny i mroczny, mroczny i ciemny, Jak noc się rozpostarł bór jodłowy; Dumnie nad nią górując senną Z niebem prowadzi tajne rozmowy. Głucho się niosą swobodne sumy, Głuch się i trzeszczą gałąz kosmata, A serce pełne dzwienne zadumy Chce pojąć puszcę i z nią się zbrać.

O czym to gwarzysz jodłowy borze I co w tym szumie ku niebu leci? Czy na swą dolę skarżysz się może, Czy coś cię gnębi tu na tym świecie?

Może ujarzęś gdzieś lzy niedoli? Może wróg piłą tnie działwę twoją? Możeś usłyszał skutych w niewoli, A możeś życie nieszczęsnych pojął?

A może wiatr, co w konary dmucha, Coś ci nabajał?... A więc nie zwiekaj I przemów do mnie, ty puszczo głucha, Bom słuchać ciebie przybył z daleka.



...tę energię użytkować na sprawy istotne, a w minimalnym stopniu na reorganizację i pozorne reformy, które powodują dużą stratę sił i czasu."

Foto: R. Łuczyszyn

Na przebieg naszego życia wpływają różne czynniki; dom rodzinny, przyjaciele, wrodzone lub nabyte zamaitowania, a także, jak to często bywa, po prostu zwykły przypadek lub zbieg okoliczności. Nierzadko trudno nam samym odpowiedzieć na pytanie: jak to się stało, że ostatecznie zdecydowaliśmy się na wybór takiej, a nie innej życiowej drogi.

Dzisiaj, kiedy z perspektywy czasu mogę ocenić moje 35-lecie, moje łódzkie 35-lecie, gdyż zaraz po wojnie znalazłem się w Łodzi, muszę cofnąć się wstecz, do moich szkolnych czasów.

Przypadek, a głównie bliskość zamieszkania sprawiły, że zdawałem egzamin wstępny do 8-klasowego Państwowego Gimnazjum Matematyczno-Przyrodniczego im. Tadeusza Czackiego w Warszawie. W szkole tej kładziono ogromny nacisk na nauczanie przedmiotów ścisłych. Od trzeciej do ósmej klasy główny filar nauki stanowiła chemia, również i dlatego, że wykładowcami byli pedagodzy o bardzo wysokich kwalifikacjach, jak prof. Józef Salcewicz i prof. Jan Harbaszewski. Pamiętam do dziś nasze lekcje w klasie siódmej i ósmej. Mieliśmy tylko jedną godzinę chemii, we wtorek, ale przygotowaliśmy się do niej przez całą tydzień. Każdy z nas dobrze wiedział, że w ciągu tej godziny będzie co najmniej dwa razy pytany przez profesora. Urok nauczycieli i powoli odkrywana chemia sprawiły, że już na rok przed maturą zdecydowałem — będę chemikiem związanym z chemią przemysłową.

Dlatego wybrałem studia na Wydziale Chemicznym Politechniki Warszawskiej. W czasie studiów spotkałem wielu wspaniałych profesorów i ludzi, którzy wywarli decydujący wpływ na ukształtowanie mego zawodowego i społecznego profilu: prof. Józef Zawadzki — wybitny technolog nieorganiczny, prof. Alicja Dorabalska — fizykochemik, uczennica Marii Skłodowskiej-

Curie i prof. Wojciech Świątkowski oraz prof. Czesław Grabowski, który wpajał nam wiedzę z zakresu inżynierii i aparatury chemicznej. Do dziś dnia stanowią oni dla mnie wzorzec pracy i zasad moralnych, którymi staram się kierować w moim działaniu zawodowym i społecznym.

Uzbrojony we wpajane przez moich wychowawców ideały, znalazłem się w 1945 roku, jako nauczyciel akademicki w Politechnice Łódzkiej. 25 października tegoż roku w auli ówczesnej Państwowej Szkoły Techniczno-Przemysłowej odbyła się pierwsza inauguracja roku akademickiego dla przeszło tysiąca studentów, którzy rozpoczęli studia na trzech wydziałach: mechanicznym, elektrycznym i chemicznym, i to od razu na wszystkich czterech latach.

Wielu z nas pamięta jeszcze, jak wyglądała ówczesna Łódź i nasza uczelnia, która rozpoczęła pracę od przysłówowego zera. Dzisiejszym studentom trudno wprost wyobrazić sobie te nie opalone sale czy słuchacze w różnym wieku, od młodzieńców, zaraz po maturze, do starszych, którym studia przerwała wojna, a po chłopców, którzy na politechnikę przyszli prosto z lasu. Nikt z nas nie zważał na niedostatki, na zimno i ciemność. Cieszyliśmy się z tego, że możemy się spokojnie uczyć i pracować.

W Łodzi, tej nie pisanej wówczas stolicy Polski, gościło wielu wybitnych i zapalonych do pracy ludzi nauki, wspaniałych organizatorów szkolnictwa wyższego. I chociaż wielu z nich opuściło później Łódź i powróciło do Warszawy, to jednak pozostawili po sobie następstwo, którzy kontynuowali ich dzieło. Byłem wówczas jedynym pracownikiem zainteresowanym zagadnieniami inżynierii chemicznej. Na Wydziale Chemicznym PŁ pracowali wówczas profesorowie: Osman Achmatowicz, Alicja Dorabalska, Edmund Treпка, Edward Józefowicz i wielu, wielu innych, któ-

rzy stworzyli podwaliny pod rozwój chemii w nowej uczelni. Początkowo, ze względu na niewielkie możliwości laboratoryjne, moje prace naukowe miały charakter raczej teoretyczny, ze skromną częścią doświadczalną. Zajmowałem się przede wszystkim procesem destylacji i rektyfikacji, wraz z zastosowaniem niektórych wyników do praktyki przemysłowej. W miarę poprawy warunków pracy tematyka badań ulegała znacznemu rozszerzeniu z możliwością sprawdzenia założeń teoretycznych na drodze eksperymentalnej. Istotną jednak sprawą było kształcenie kadry współpracowników. Dzisiaj, gdy po przeszło 30 latach patrzę na ten problem, mam poczucie dużego zadowolenia, że w kierowanym przeze mnie obecnie Instytucie Inżynierii Chemicznej PŁ, pracuje 120 osób, w tym spora grupa profesorów i docentów oraz kilkudziesięciu doktorów adiunktów. Zajmujemy się teraz szeregiem ważkich zagadnień naukowych, m. in. procesami mieszania, granulacji, przesiewania, wybranymi zagadnieniami suszenia, procesów reaktorowych i inżynierii biochemicznej.

Czy osiągnęliśmy to wszystko, o czym marzyliśmy w 1945 roku? Odpowiedź na to pytanie nie jest łatwa. Wielu z tych, którzy opuścili Łódź, z powodzeniem mogłoby działać dalej w tym mieście, gdyby mieli bardziej korzystne warunki życia. Wiemy również, że liczba studentów, których w 1947 roku mieliśmy około 16 tysięcy, w ciągu 30 lat zaledwie się podwoiła. Łódź, przeszło 800-tysięczne miasto, jako ośrodek szkolnictwa wyższego liczy się w kraju po Warszawie, Krakowie, Wrocławiu, Katowicach i Poznaniu. A więc jest na szóstym miejscu. Ponadto ośrodki w Gdańsku i Lublinie z każdym rokiem zbliżają się do nas. Szczególnie ośrodek lubelski, który osiągnął już liczbę studentów równą Łodzi. Nie dągnął nas tylko jeszcze pod względem ilości kadry naukowej.

Nasua się zatem wniosek, że łódzkie środowisko naukowe powinno dążyć do odgrywania większej roli w życiu naukowym i kulturalnym kraju. Zadowolenie z dotychczasowych wyników pracy nie zwalnia nikogo z dalszych intensywnych badań i solidnej pracy. Chodziłoby jednak o to, aby tę energię użytkować na sprawy istotne, a w minimalnym stopniu na reorganizację i pozorne reformy, które powodują dużą stratę sił i czasu.

Zabrzmiał może lapidarnie i sloganowo, ale o postępie w nauce (jak zresztą i w innych dziedzinach) decydują ludzie, w tym wypadku pracownicy naukowo-dydaktyczni, którzy na uczelniach, obok badań naukowych, spełniają również rolę wychowawców.

Na pierwszym miejscu w pracy ze studentami stawiam bezpośredni kontakt, rozmowy, dyskusje i spotkania z młodzieżą. Lubię te kontakty i przypuszczam, że młodzież to czuje. Staram się wzbudzić w moich młodych przyjaciół zaufanie, abyśmy na tym gruncie mogli otworzyć własne serca i myśli i dzielić się nie tylko radościami, ale także kłopotami i wątpliwościami. W czasie wykładów, jeśli uda mi się wywołać żywą dyskusję, każdy głos traktuję poważnie, a jeśli nie zgadzam się z dyskutantem-studentem, staram się wytworzyć atmosferę przyjaznej i życzliwej rozmowy, w toku której moglibyśmy przedstawić wzajemnie opinie. Dlatego też ogromnie ucieszył mnie przyznany mi przez młodzież w ubiegłym roku tytuł Najlepszego Wychowawcy i Dydaktyka w ogólnopolskim konkursie, organizowanym

MOJE 35-lecie

przez SZSP i redakcję „Szandaru Młodych”. To uznanie studentów cieszy mnie, podobnie, jak inny zaszczyt, tytuł — doctora honoris causa, przyznany mi przez współpracującą z Politechniką Łódzką, University of Strathclyde w Wielkiej Brytanii.

W pracy wychowawczej chodzi mi także o wyrabianie u studentów szacunku dla innych, nawyku solidnej, codziennej pracy, odpowiedzialności za własne postępowanie i rozbudzanie potrzeby społecznego działania, a także wiązania się rozumem i sercem z życiem uczelni, miasta i kraju, tego czystego domu, którego nie można zastąpić.

Chciałbym podkreślić, że trudno mi o tych sprawach pisać, formułować plany, cele i metody działania. Lepiej to zrobić specjalistom: pedagogom i psychologom. Ja wolę działać, wczuwając się w aktualną sytuację młodzieży i szukając intuicyjnie najlepszego czy optymalnego rozwiązania. Stąd mam nieraz wiele wątpliwości, czy postąpiłem prawidłowo, ale ciężko mi liczyć na obawy życzliwości tych, z którymi pracowałem, lub z którymi się kontaktowałem i to uważam za odpowiedź życia na trapiące mnie nieraz rozterki. Pracę wychowawczą komplikują, lub przeciwnie — czynią ją ciekawszą, stale zmieniające się warunki. Właściwie nie ma takich dwóch sytuacji, które można by rozwiązać tą samą metodą. Myślę, że najlepszą metodą wychowawczą jest osobisty przykład, który znaczy więcej niż długi i uczony referat z tej dziedziny.

Pracując na Politechnice Łódzkiej od początku jej powstania, tj. od 1945 roku i pełniąc liczne funkcje, miałem często kontakty nie tylko ze studentami, ale również z przedstawicielami władz politycznych i państwowych. Ze stanowiska kierownika katedry maszynoznawstwa ogólnego i chemicznego przeszedłem w 1968 roku na stanowisko rektora. Równocześnie, przez siedem lat pełniłem funkcję przewodniczącego Kolegium Rektorów łódzkich uczelni.

Ileż to ważnych i ciekawych spotkań wiązało się z tymi funkcjami, ile rozmów, dyskusji i skomplikowanych sytuacji życiowych. W ten sposób znalazłem się w nurcie życia Łodzi, poznałem problemy miasta nie tylko związane z nauką i szkolnictwem wyższym, ale także z jego kulturą i gospodarką. Sądzę, że to prawdopodobnie wpłynęło na stanowisko władz, które zaproponowały mi, jako kandydata na posta do Sejmu PRL, gdzie, w miarę swych skromnych możliwości, działałem w latach 1972—76. Obecnie pełnię zaszczytną funkcję przewodniczącego Łódzkiego Komitetu Frontu Jedności Narodu.

Gdybym w jednym zdaniu chciał wyrazić sens swojej pozazawodowej pracy, powiedziałbym, że kontakty te dostarczają mi wielu sukcesów i radości, ale także są źródłem kłopotów, trosk i niepowodzeń. Moi koledzy na uczelni nie raz mi zarzucają, że rozpraszam swoje siły, które bez reszty powinienem oddać „własnemu” Instytutowi Inżynierii Chemicznej. Zastanawiam się nad tym często i coraz bardziej dochodzę do wniosku, że dodatkowa praca społeczna i stały udział w życiu daje mi wewnętrzne zadowolenie. Wybór takiej drogi jest złożonym problemem i każdy z nas rozważuje go według własnych koncepcji, co uważam za prawidłowe. Różnorodność tych rozwiązań daje w całości pozytywny i interesujący wynik działania nie tylko jednostki, ale i całego społeczeństwa.

Stare skrzypce, które wiszą w moim pokoju, należały kiedyś do mego stryjecznego dziada. Odziedziczył je po nim jego syn Zdobysław, którego Niemcy rozstrzelali w Zakroczymiu we wrześniu 1939 r. A rozstrzelali dlatego, że się bronili. Jego matka sprzedała skrzypce w czasie wojny wiejskiemu grajkowi. Tak się złożyło, że ów grajek był mężem mojej ciotki. Dowiedziałem się o tym i okupiłem od niego skrzypce, które stanowią dzisiaj dla mnie jeden ze skarbów domowych. Nazwiska ludzi, których tu wymieniałem, znajdują się w moich książkach. Dziada stryjeczny można odnaleźć w postaci Benedykta w Cieniach na piaskowej górze. Tamże znajduje się jego żona, która w książce nosi imię Anna. Piszę również o Zdobysławie, który spoczywa na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach. Jego grób znajduje się w III rzędzie, ma numer 5. Wiejski grajek Sikora również często pojawia się na kartach tych czy innych powieści. A skrzypce? Wciąż grają. Oczywiście, w dźwięku.

W naszych domach znajdujemy często przedmioty, odziedziczone po ojcach czy dziadkach. O każdym z nich można by ułożyć ciekawą metrykę. Każdy ma swoją historię. Może to być i bardzo cenny obraz. A może rzecz pozornie błaża, nie mająca wartości artystycznej. Lecz nie tylko o te wartości w tym przypadku chodzi. Z wielkim wzruszeniem czytałem przed laty w Literaturze Ludowej relacje o rodzinie Lewandowskich z Przyłęku Dużego. W posiadaniu tej rodziny znajdował się dom, który był zbudowany z bierwion i desek pozostałych po domu, w którym kiedyś mieszkał autor Ziemi obiecanej i Chłopów. W innym domu pokazywano stół, przy którym jadał i pracował Reymont. Fotografowano lipe, która pamięta gawędę Reymonta z chłopami. W Lipcach zbierają pamiętki po pisarzu, książki, druki, które mówią o nim.

Ogarnia mnie wzruszenie, ilekroć odwiedzam Kielce i starą szkołę Zeromskiego, w której mieści się obecnie muzeum lat szkolnych pisarza. Na ścian-

O DOMOWYCH SKARBACH

kach wiszą wielkie fotografie przedstawiające Puszcze Świętokrzyską. Można zobaczyć starą belkę sufitową z datą 1753, która jest jedyną pozostałością z domu rodzinnego w Ciekotach. Oglądamy metrykę, drewniany torńster z Fasz, gdzie Stefan uczył się rok w szkole wiejskiej, podanie matki do dyrektora gimnazjum, dziennik klasowy, świadectwa. Wisi róg, którym w roku 1863 ostrzegano powstańców w lasach Ełczy. Patrzy na nas z fotografii Katarzyna Zaborowska, która pamiętała, gdzie Zeremsky swiał owies, a gdzie żyto. Te przedmioty przypominają słowa Zeromskiego: Kielce — tyle lat, taka nieskończoność, przepięknie, epizody, taka mnogość przeżyć, lat, tyle smutków, ślęzne sny i gorzkie, wszystko od klasy wstępnej do klasy ósmej — zapisane w kamieniach, na wieżach kościołów, na panoramach krajobrazów, na chodnikach ulic...

A więc mówimy o nieskończoności, o nieskończoności wspomnień; albo o nieskończoności wzruszeń, które budzi w nas dany przedmiot. Każdy dom posiada takie izby pamięci. Jedne są bogatsze, inne biedniejsze. U mnie wiszą owe stare skrzypce. Stoł kółkowy od pluga, przywiezione ze wsi, o którym opowiadał mi jest to koło od armaty, pamiętające Kosciuszkę. Zachowały się różne pamiętki po ojcu, fotografie, dokumenty. Pisałem o tym w Powrótniej śmierci Boryna: „przede wszystkim został album. Ten, który oglądamy. Znajdują się tam zdjęcia rodzinne... Dziwny to album, gruba księga, jakiej z carskich czasów używano w gminach do zapisywania korespondencji. Przetwała lata, oprawiona po rogach i na grzbiecie w skórę, miejscami zdarta, ale nie wypuszczająca ze swego uchwytu pożytkowych już kart. Na niektórych stronach widziałem jeszcze ślady urzędowych zapisów. Skąd ta księga znalazła się w posiadaniu ojca? Nie wiem, może znajomy woźt podarował ją ojcu. Niektóre karty są całkowicie zakryte fotografiami. Gromadził je latami mój ojciec. Pod każdym zdjęciem umieszczał datę i krótkie objaśnienie. Teraz ja objąłem w spadku po ojcu te księgi, umieszczam w niej coraz to nowe zdjęcia. Ciotka mi nieraz zwracała uwagę: — Kupiłbyś porządny album ze słownymi brzo-gami, widziałam taki w mieście, z malowanymi widokami na okładce. Ale ja wole te stare księgi. Gdy nikt nie patrzy, schylam nad nią głowę, wydaję mi się wtedy, że jestem bliżej spraw i ludzi, którzy w niej żyją.

Powieść, która cytuję, jest właśnie zbudowana na kształt i podobieństwo albumu. Opowiada o poszczególnych bohaterach w takiej kolejności, w jakiej znajdują się (czy powinni się znajdować) w albumie. Ale nie to jest chyba najważniejsze. Najbardziej istotne jest to, co powiedział bohater powieści: że pochyła głowę nad tym albumem i wydaję mu się wtedy, że jest bliżej spraw i ludzi, którzy w niej żyją. Być bliżej spraw i ludzi, to znaczy poznać owe sprawy, określić swój stosunek do nich, jeśli potrzeba, uczyć się na nich. W tym zawiera się znaczenie wychowawcze naszych archiwów i pamiętek domowych i wszystko jedno, czy mamy do czynienia z cennym obrazem, starą księgą czy przedmiotem pozornie drobnym i nieważnym. Stosunek do owych przedmiotów, czy skarbów, jak je nazwałbym, określa nas samych, naszą kulturę, aktywizuje nasze przeżycia emocjonalne, pozwala nam zgłębiać wiedzę o przedmiocie. I dlatego pomagamy tym, którzy budują swoje małe, domowe archiwa i izby pamięci; w ten sposób, między innymi, budujemy pamięć o sobie.

H.S.

TADEUSZ PAPIER

jach szlacheckich, władzy politycznej, religii, bogactwach naturalnych, handlu i wojsku.

W pracy Szymona Starowolskiego między innymi znajdujemy sporo wiadomości o terenach stanowiących dziś centralne obszary naszego kraju.

BESTSELLER XVII i XVIII w.

Rozdział zatytułowany „Wielka Polska” informuje o Sieradzu, Łasku, Piotrkowie, Wieluniu, Rawie, Łowiczu, Skierniewicach, Łęczycy, Pabianicach i wielu jeszcze innych miejscowościach oraz o ich najciekawszych obiektach. Niestety, brak tutaj wzmianki o mało znanej wówczas Łodzi. Przy-

okazj można podać, że pierwsze słowa drukowane o tym mieście pojawiają się dopiero w wieku XVIII.

„Polska” Szymona Starowolskiego, mająca w znacznym stopniu charakter XVII-wiecznego przewodnika krajoznawczo-turystycznego po ówczesnych terenach naszego kraju, była w XVII i XVIII stuleciu niezwykle poczytną książką, o czym świadczą poważna liczba wydań, jakich się wówczas doczekała (1632, 1652, 1656, 1662, 1733 — dwie edycje, 1734 i 1765 r. — przekład polski). Te liczne w tym okresie wydania pracy Starowolskiego mogą wskazywać na dość silną dążność części dawnego społeczeństwa polskiego do pogłębienia wiedzy o swym kraju oraz na potrzebę informacji krajoznawczo-turystycznej, dotyczącej przynajmniej najważniejszych i bardziej interesujących miejscowości i obiektów.

Ostatnia edycja „Polski”, która ukazała się w roku 1976 staraniem Wydawnictwa Literackiego w Krakowie, jest wzbogacona obszernym wstępem i komentarzem współczesnego tłumacza tekstu łacińskiego — Antoniego Piskardy, a także mapą XVII-wiecznej Polski i materiałem ilustracyjnym. Zaprezentowana tu praca Szymona Starowolskiego, będąca niegdyś bestsellerem, stanowi również i obecnie wartościową i ciekawą pozycję.



Dalszy ciąg ze str. 1

— „Jako pogląd, dla którego nie znajdzie się przekonującego uzasadnienia. Dojdziemy wtedy do sprawy, moim zdaniem, zasadniczej, która jest kształcenie tancerzy. Za pedagogikę i choreografię biorą się u nas zbyt często ludzie nie powołani. A przecież tak jak nie powinno się zająć do pisania książki tylko dlatego, że się sprawnie włada piórem, tak też nie ma szans na to, aby dobry balet uczył ktoś, kto zna tylko tzw. warsztat. Niezbędna jest jeszcze idea artystyczna! Podobnie też trzeba mieć koncepcję szkolenia, żeby uprawiać pedagogikę.

— Trudno mi w to uwierzyć, że moglibyśmy nie mieć do tej pory wypracowanych wzorów kształcenia tancerzy. Jest, bądź co bądź, pięć szkół baletowych w kraju, choć jedna z nich dopiero raczkuje.

— „I na palcach policzy pan wybitnych solistów, dyplomantów tychże szkół. A i sprawność naszych corps de ballet rzadko może zadowolić.

— Jednak uczą się ludzie w szkole baletowej dziewięć lat...

— A uczą się często nie ci co powinni i nie może być inaczej, skoro zaczynamy kształcić tancerzy od dziecka. To dziwne, że wszyscy u nas rozumieją, iż śpiewu czy aktorstwa należy uczyć dopiero w wieku, kiedy już można (z pewnym ryzykiem błędów) ocenić, czy ktoś ma tzw. materiał i talent. Bo jeśli nie osiągnął jeszcze odpowiednich warunków fizycznych i pewnego stopnia ogólnej dojrzałości, to jak ten talent rozpoznać? Niestety tylko tancerzy kształci się od dziecka.

— No i jeszcze muzyków instrumentalistów, którzy dobrych kilkanaście lat muszą pracować nad warszatem wykonawczym zanim staną się przygotowani do technicznej i muzycznej interpretacji koncertowego repertuaru.

— A i to rzadko zdarzają się wybitne indywidualności.

— Oczywiście, ale pomimo tego trzeba w kształceniu przyszywać, tj. potencjalnych instrumentalistów iś trochę na niewiadomą, kształcić jakby na wszelki wypadek.

— Zgoda, ale czynimy to z przyczyn, o których pan wspominał. Ale już w wokalistyce i aktorstwie ten przypadek redukuje się do względnie minimum, toteż na śpiewaka nie kształcimy nikogo, kto nie przeszedł jeszcze mutacji głosu, ani na aktora nikogo, kto się jeszcze nie ukształcił fizycznie i pod względem ogólnego rozwoju. Tymczasem na tancerzy zaczynamy kształcić już dziesięcioletków, o których budowie i postawie ciała, o ich predyspozycjach ruchowych, o ogólnym wyrazie i gestyce nikt jeszcze nie potrafi nie pewnego powiedzieć, niczego przewidzieć. Po co kształcić zanim się uwidocznią wyraźniejsze zadatki na tancerza, choćby te powierzchowne? A przecież potrzebna jest ponadto świadoma chęć i decyzja pójścia w tym kierunku, poświęcenia się wszystkim trudom tego zawodu. Czegoż można oczekiwać od dziesięcioletka?

— No dobrze, ale w czym to może zaszkodzić dziesięcioletkowi, że się go tak wcześniej bierze w obroty. Dzięki temu przynajmniej nie przeoczy się talentu, jeśli się później ujawni. A czy jest do pogardzenia zapewnienie uczelni sprawności fizycznej i ruchowej gracji, nawet jeśli w przyszłości nie zostanie tancerzem? A ponadto ci niedoświadczeni tancerze zasila tak niecierpliwą u nas widownię, nie najlepiej znającą się na tańcu, zwłaszcza klasycznym.

— I jest pan pewny, że stać nas na taką rozrzutność, żeby kształcić społecznym kosztem w kierunku artystycznym „na wszelki wypadek”?

A od czego są amatorskie kółka artystyczne? Wątpię, czy zechciałby pan posyłać swoje dziecko przez dziewięć lat do szkoły baletowej nie mając pewności, że ma ono w tym kierunku talent.

— Niestety nie brak w Polsce ludzi, którzy w ogóle nie chcieliby widzieć córki, czy zwłaszcza syna w tym zawodzie, nawet gdyby byli pewni kariery dziecka.

— Tak, to prawda, że ranga naszego zawodu jest w Polsce ciągle je-

# GDZIE CI TANCERZE...

szcze niewysoka. Ale wracam do tego, że nie ma sensu, żeby w szkole zawodowej, jaką jest baletowa, kształcić kogoś tylko „dla samego siebie”. Poza tym wcale nie jest tak łatwo w praktyce życiowej zejść raz z obranej drogi, nawet jeśli okaże się błędna. Bo absolwent, który mimo braku większych zdolności jakoś przez szkołę baletową przebrnie, otrzynuje z teatru propozycje pracy ponieważ teatr zmuszony jest i nawet zobowiązany zatrudniać ludzi jacy są.

— To wiele korzystne dla młodych tancerzy, że mogą znaleźć chleb.

— To bardzo niekorzystne dla sztuki, jeżeli tak się zatrudnia kogokolwiek. Czy wie pan, że nawet zdolniejsi absolwenci naszych szkół baletowych prawie niczego jeszcze nie umieją i dopiero w zespole baletowym, pod okiem choreografa i pedagoga robi się z nich tancerzy? Bo szkola wcale jeszcze nie uczy tańca, lecz jedynie pewnej liczby „pas”, czy też „pozycji”.

— Ale czy nie jest to sprawność ukierunkowana na opanowanie baletowej techniki?

— Ależ to jest nic w porównaniu z ogólną sprawnością ruchową, którą rozporządza każdy chłopak czy dziewczyna uprawiająca gimnastykę artystyczną. I nie tak wiele pod względem „technicznym” potrzeba, żeby przyuczyć tych ludzi na tancerzy, szkola baletowa natomiast doprowadza tylko pod sam próg tej techniki.

— Uczy jednak podstaw klasyki, która jest, jak to słyszymy nieustannie, fundamentem wyszkolenia każdego tancerza, każdego zespołu baletowego.

— Daleki jestem od niedoceniania roli klasyki, ale nie wolno w tej sprawie postąpić się myślowymi stereotypami. Szkoła baletowa, w istocie, oprócz wspomnianych kroków i postaw uczy też tańczenia na tzw. pointach i wokół tej właśnie sprawy jest najwięcej nieporozumień. Bo przecież pointy to jeszcze niecały taniec i nawet niecała klasyka, w której pointy nie zawsze w ciągu stulecia istnienia baletu klasycznego obowiązywały, o czym się tak łatwo nieraz zapomina. Pierwszą, która przypadkowo uoniósła się na pointy, była słynna Maria Taglion. Stało

się to półtora wieku temu w wystawianej przez jej ojca „Sylfidzie” (które nie należy mylić z późniejszymi „Sylfidami”). W pewnym momencie przebiegła sceną bosą stopą na palcach, jakby płynęła nad ziemią. Była to zresztą osoba eteryczna. Otóż w tym balecie, w tej właśnie scenie i w takim wykonaniu miało do swój artystyczny wyraz i sens, co doskonale podchwycił stary Taglioni. I rzeczywiście, jest wiele scen, są całe balety, którym taniec na pointach wychodzi na dobre, choć co prawda obucie stopy w sztywne baletki pozabawić musiało taniec na palcach piętrowej lekkości i wdzięku. Nierzadko jednak stosowanie point wy daje mi się czymś zupełnie nieuzasadnionym, sztucznym, jak np. w „Romeo i Julii”. Czy pointy sprzyjają naturalnemu wyrazowi ruchowemu stanu przeżytego obojga młodych kochanków? Nie chodzi zresztą o konkretne przykłady, bo o konkrety zawsze można się spierać.

— Wynika z tego jednak, że technika klasyczna ma w praktyce dość szerokie zastosowanie, często uzasadnione i z pewnością wielu utworów nie chcielibyśmy wcale oglądać w innym niż klasyczny kształcie. A więc i ze szkolenia w tym kierunku nie można by zrezygnować?

— Ależ ja nigdy nie nawoływałem do całkowitej rezygnacji z klasyki, pozwól sobie jednak zauważyć, że balet współczesny odczuwa zapotrzebowanie na tancerzy o jak najwszechstronniejszym (a więc nie tylko klasycznym) przygotowaniu, a tego właśnie u nas brak. Chodzi o to, żeby współczesny zespół baletowy mógł jednego wieczoru tańczyć, jak najdoskonalej klasycznie „Jeziro iabędzie”, a drugiego potrafił z równą doskonałością wykonać wszystkie iście cyrkowe ewolucje tańca nowoczesnego, którego treści nie dalałyby się prosto wyrazić techniką klasyczną.

— Wobec tego, jak pan sobie wyobraża pogodzenie tych wszystkich, być może pozornych, sprzeczności? Chciałby pan, żeby kształcenie na zawodowego tancerza rozpoczynać o wiele później, a jednocześnie, żeby było ono bardziej wszechstronne. Ale jak nadążyć z kształceniem, żeby, powiedzmy dwudziestoletki mogli wykonywać różnorodny repertuar, jako solista lub być niezawodną podporą corps de ballet. Czy zna pan takie wzory?

— Idealnego wzoru, nadającego się do powielania wszędzie, bez względu na możliwości i zapotrzebowania, nie było i być nie może. Wzorować się wolno jedynie twórczo. Co do, istotnie rzekomych, sprzeczności, odpowiem następująco: Za żadną cenę i pod żadnym pozorem nie wolno dopuszczać do tego, żeby przedwczesne rozpoczynanie kształcenia baletowego zamykało drogę do baletu przed dojrzałą już i rozwiniętą młodzieżą. A więc należy poszukiwać kandydatów na tancerzy wśród tak dorodnych dziś u nas, pięknie zbudowanych i nieraz świetnie wyćwiczonych chłopców i dziewcząt, u których ze stosunkowo już znacznym prawdopodobieństwem można dostrzec talent. Za tym co mówię, przemawiają bardzo liczne przykłady. Sergiusz Lifar zaczął się uczyć tańca mając szesnaście lat, słynna Yoriko była najpierw krawcową, zanim zaczęła się uczyć u Marty Graham, a po roku była już solistką jej znakomitego zespołu. Kriża z American Ballet trafił do zespołu mając osiemnaście lat, przedtem był jednak akrobata, Jose Limon zanim się zainteresował baletem ukończył wprawier wyższą uczelnię muzyczną. I u nas było podobnie, kiedy w 1945 r. zaczęliśmy kształcić tancerzy dla trzech oper i pięciu operetek. Zygmunt Dąbrowski otworzył w Łodzi prywatną szkołkę, w której uczył się, dorosły już, Szymański, z późniejszej podobnej szkółki wyszli Sawicka i Drzewiecki, podobnie było

z Bittnerówną i wielu innymi 18—20-latkami, których owe szkółki podszkolywały przez pół roku, a potem czy to ja, czy Papliński lub Miszczyk w ciągu roku robiliśmy z nich zawodowców, przyzna pan, że niezłych. Może jeszcze przykład. Wkrótce po wojnie spotykał Sygietyński, co się będzie nazywał „Mazowsze”, trzeba się rozejrzeć (wśród amatorów, oczywiście, bo innych nie było). Zaangażował do pracy Papliń-



Foto: R. Lucyszyn

skiego i po dwóch latach mieliśmy znakomity zespół. Podobnie było ze „Słaskiem”. Z pewnością „materiał” i dziś nie jest gorszy, tylko trzeba w odpowiednim momencie rozpocząć szukanie i trzeba umieć wybierać. Bo tak, jak dotychczas, to mamy już mnóstwo absolwentów, ale mało tancerzy, z których choreograf mógłby coś wykreślić.

— Przyjmijmy więc, że miałby pan całkowicie wolną rękę i jakie takie organizacyjne możliwości. Od czego by pan zaczął?

— Przyjmowałbym młodzież w wieku od 16 do 21—22 lat i brałbym tylko tych, którzy czują powołanie i mają wyraźne zadatki na tancerzy, a uczyłbym ich przede wszystkim... gimnastyki, i tylko raz w tygodniu podstaw tańca klasycznego. Tylko wybitnie utalentowanych „klasyków” kierowałbym w ręce specjalisty, bo takie jest faktyczne zapotrzebowanie na klasykę. Co do reszty, to maksymalnie po dwóch latach zawodowego, a tam już choreograf i pedagog wiedzieliby, jak ich uczyć tańca i — podkreślam to — wychowywać na tancerzy.

— Na czym miałoby polegać owo

wychowywanie wyszkolonych już ludzi?

— Choreograf, widzi pan, to nie tylko twórca układów, ale i wychowawca, ktoś kto nie tylko każe pracować nogami, lecz kształtuje także osobowość artystyczną. Niestety, nie każdy teatr operowy czy operetkowy ma swojego stałego choreografa, którego nie zastąpi nawet najlepszy tancerz, jeśli nie ma po temu danych. Jak nie każdy wybitny wirtuoz, czy instrumentalista z orkiestry może zostać dyrygentem, tak nie każdy tancerz może zostać choreografem.

— A kierownik baletu? Jaka jest, pana zdaniem, jego właściwa rola?

— Według mnie istnieją tylko trzy specjalności w balecie: tancerz, choreograf i pedagog. One różnią się z sobą łączą, ja np. byłem tancerzem i choreografem, a nasz słynny Wólcikowski tancerzem i pedagogiem.

— Wracając jednak do naszych obecnych tancerzy, czego im najczęściej brak? Czy głównie techniki, czy artystyzmu?

— Te sprawy zawsze wywołują dużo nieporozumień. Oczywiście, znakomite opanowanie warsztatu technicznego jest absolutnie niezbędne, bo bez tego trudno mówić o pełnowartościowych kwalifikacjach — tak samo solista, jak i członka corps de ballet. W Związku Radzieckim, którego balet klasyczny zajmuje czołową pozycję w świecie, prawie każda tancerka z corps de ballet potrafi technicznie wykonać to co solistka i wcale nie gorzej. Przecież Nadejda Pawłowa nie tym się wyróżnia, że umie więcej od innych pod tym właśnie względem. Spośród jednakowo dobrze władających techniką wybijają się dopiero te tancerki i ci tancerze, którzy mają osobowość artystyczną, tzw. wewnątrz, talent interpretacyjny, wdzięk...

— A czy u nas nie dochodzą do głosu podobne prawidłowości?

— Łącznie z samym faktem, że i u nas rozpoczyna się naukę równie wcześnie, podobieństwa są w znacznej mierze pozorne. Bo proszę wziąć to pod uwagę, że np. w Leningradzie przyjęto ostatnio 85 osób spośród 1100 kandydatów, a więc z pewnością bardzo już sprawnych, o wrodzonym poczuciu rytmu. I co się tam dzieje dalej. Już po roku nauki rozpoczyna się stopniowa eliminacja, polegająca na przekazywaniu uczyłłów rokujących mniejsze nadzieje do innych szkół i szkółek, m. in. żyłwarskiej. W ten sposób do końca pozostają w szkole ci, którzy bez żadnych ulg i z pożytkiem dla sztuki mogą być przyjęci do baletu, oczywiście do corps de ballet, a tylko ci nieliczni, z prawdziwą iskrą talentu, zostają solistami. Jest w tym konsekwencja, której u nas brak, a poza tym mamy też inne tradycje i potrzeby repertuarowe.

— Pytałem już, co by pan zrobił w swojej hipotetycznej szkole. Zapytam jeszcze, co by pan zaproponował na dziś, w istniejącej sytuacji, żeby w szerszej krajowej skali wyłowić jeszcze te talenty, które mogą nam umknąć bezpowrotnie.

— Wyobrażam sobie, że na początek można by urządzić wielki ogólnopolski konkurs dla amatorów w wieku, powiedzmy do 22 lat, a potem można by spokojnie pomyśleć o udoskonaleniu istniejącego systemu kształcenia. Obawiam się, żeby nie nadeszła chwila, że nie będzie polskiego baletu, godnego swoich najświetniejszych tradycji.

— Dziękuję panu za wypowiedź pobudzającą, moim zdaniem, do konkretniejszego myślenia o przyszłości baletu i prowokującą do publicznej, fachowej dyskusji, której brak odczuwa się od dawna.

Rozmawiał: JERZY KWIECIŃSKI

Dalszy ciąg ze str. 1

wanie pytania o funkcje filmu, jeżeli będziemy wybierać pomiędzy alternatywną odpowiedzią: z jednej strony — przekazywać informacje, kształtować postawy, a pobudzać do refleksji samodzielnej — z drugiej. Pomiędzy tymi zestawieniami nie istnieje opozycja; przeciwnie tylko film skupiający te elementy może liczyć na skuteczność swojego oddziaływania. Oczywiście, że odnosi się to przede wszystkim do filmu dokumentalnego, czy oświatowego, starającego się wypowiedzieć pewien problem. Problem ten musi — rzecz jasna — istnieć poza filmem, w samej rzeczywistości, ale ważne jest, by twórca przedstawił go z własnego, indywidualnego punktu widzenia, by był on najpierw jego problemem osobistym — nim stanie się sprawą odbiorcy. Bezcelowe jest dziś przekonywanie o wyłącznej informacyjnej funkcji filmu, o sprawozdawczej roli kamery. Trudno też uwierzyć w bezkonfliktowość jakiegokol-

wiek przekazu — tym bardziej filmowego. Każdy filmowy temat i każda propozycja rozmowy o nim musi mieć — w sposób naturalny — zwolenników i przeciwników, po to, aby rozmowa mogła istnieć także po projekcji. Te oczywiste uwagi zyskują szczególne znaczenie właśnie wówczas, gdy sprawy dotyczą problemów światopoglądowych, społecznych, politycznych — które, jak dotąd, mają w filmie nie najlepszą tradycję ze względu na posługiwanie się często zbyt uproszczoną dydaktyką. Przekonano o słusznosci własnego stanowiska jest dopiero punktem wyjścia do dyskusji, a nie powodem jej zakończenia. Wartość filmu nie może być więc sprowadzana wyłącznie do oceny wyrażonych w nim poglądów, choć właśnie one są najistotniejsze.

Tegoroczny przegląd zgromadził w dużej mierze to wszystko, co znaczące w tematyce historycznej i współczesnej od roku 1977 w filmie krótkim. Zabrakło — co prawda — kilku tytułów głośnych z festi-

wali krakowskich (wystarczy wymienić na przykład ostatnie dokumenty Kieślowskiego), ale absencja ta nie zmienia całościowego obrazu. O sytuacji panującej w filmie krótkometrażowym pisałem w „Odgłosach” z okazji ostatnich ogólnopolskich festiwalu. Po selekcji dokonanej przez komisję OPFSP pewne — zasygnalizowane wówczas sprawy — uległy wyostrzeniu. W filmach dokumentalnych prezentowanych w Łodzi dominowała publicystyka (np. „Następny punkt programu”, „Sprawa Henryka Rudy”, „Gwiazda pomysłowości”, „Być sołtysem”, „Tam i z powrotem”, „Pamięć”, „Zwycięzcy”, „Paralaksa”, „Piękna, mroźna polska zima”) i to często o funkcji interwencyjnej, ale dążąca do uogólnienia i dotycząca tematów ważnych. Jednakże granice tego uogólnienia są dość wąskie, bo wyznaczone przez zainteresowanie się fragmentami rzeczywistości. Inaczej niż było to niedługo w „Robotnikach” Zygady i Kieślowskiego, czy w „Fabryce” i „Zycorysle” Kieślowskie-

go. Co ciekawe, interesującym wyjątkiem był tu — zbyt może dostojny stylizacyjnie — film studencki Juliusza Machulskiego — zrealizowany w PWSFTiVt — „Paralaksa” (robotnicy ma, wiele uwag na temat warunków pracy i stosunków panujących w ich zakładzie, ale do kamery; na zerbraniu rady zakładowej — milczenie). Oczywiście, parę z wymienionych wcześniej tytułów dysponowało większą siłą dramatyczną, ale zjawisko społecznej „paralaksy” poglądu jest bezosobowe; nie ma konkretnej, ludzkiej twarzy inwalidy, który nie może znaleźć zatrudnienia w wyuczonym zawodzie, wyuczonym — najwyższą siłą woli („Zwycięzcy”), czy pozostawionych własnemu losowi starców („Piękna, mroźna polska zima”). A przecież wymienione filmy z początku lat siedemdziesiątych zrealizowane przez twórców, którzy są obecnie czołowymi reprezentantami nowego nurtu w polskim filmie fabularnym — znajdują się, jak to wykazuje PWSFTiVt, w grupie filmów

najczęściej wykorzystywanych w pracy ideowo-wychowawczej (choćby tylko część tytułów odnotowana jest w poradniku-informatorze filmu społeczno-politycznego wydanym przed rokiem przez ZRF). Spójrzmy nieco bliżej na

mu lat pięćdziesiątych, wydobytym z przeszłości autentyczny klimat działań ZMP. Filmy te dopełniają się w paradoksalny sposób: „Pamięć” jest utworem o niepamięci. Słynna niegdyś przodownica pracy, działaczka ZMP, Iódzka

# POSZUKIWANIE

problematykę filmów dokumentalnych prezentowanych w Łodzi. Wyróżniona nagrodą publiczności „Sprawa Henryka Rudy” WALTERA CHEISTOWSKIEGO stanowi analizę sytuacji robotnika z autentycznymi ambicjami w środowisku kolegów, którzy w swych wypowiedziach ujawniają raczej zainteresowanie nie przeciętnością. Film „Pamięć” Władysława WASILEWSKIEGO koresponduje z „Człosem entuzjastów” Janusza KIDAWY — montażem kronik z przeło-

wiólniarka — Janina Leśniewska trwa we wspomnieniach kilku zaledwie koleżanek, ale tak naprawdę — tylko jednego człowieka — kobiety, której wyświadczyła przed laty przysługę. „Tam i z powrotem” Grzegorza SKURSKIEGO to reżystura jednego dnia z życia robotnika warszawskiej PZO, który mieszkał pod Warszawą, jedną trzecią życia spędza w drodze z pracy i do pracy. Jest to oczywiście przypadek w swej skrajności dość

„Aria dla atlety” — fabularny debiut Filipa Bajona (wg scenariusza reżysera) powstał obok głównych dziś nurtów polskiego kina. Ale dla wszystkich filmów listnie kryterium wartości niezależne od wąsko rozumianej tematyki: jego znaczenie społeczne. Społeczne — co wcale nie musi znaczyć masowe, integrujące, powszechnie dostępne. Wręcz przeciwnie: społeczne — czyli burzące oczekiwania statystyczne, atakujące świadomość. Z tego punktu widzenia naprawdę ważnymi filmami były — wybrane tu przypadkowo — „Ziemia obiecana”

chwytów reklamowych i pozostawiać na afiszu przed kinem „Polonia”. Świat, który pojawia się na ekranie, i tak nie dąży się wytłumaczyć czymkolwiek spoza swojego obszaru. I wcale tego nie wymaga. Chociaż już po premierze tego filmu na festiwalu gdańskim reakcją na jego niezwykłą wizyjność i oniryczność było szeptem powtarzane nazwisko Felliniego. Władysław Góralewicz — champion of the world, mastier mira, przekazują swoją słynną kolekcję rzeźb — Atlasów, nowo otwierane operze. Spojrzania na identyczne posągi, z któ-

wobec Bengu naczelnego. Bo wiem ten świat nie jest tem dla bohatera: jest partnerem w jego życiowej rozgrywce, jest przedmiotem ataku i stroną atakującą — jest największym przeciwnikiem i największym triumfem. Umierający świat kultury tzw. mieszczańskiej ze wszystkimi swoimi atrybutami, umierający we wspaniałym przepychu — i bohater spoza tego świata, gdzie za granicą Europy — z zapadłego Stanisławowa, pragnący przekroczyć granice własnej życiowej historii, własnego losu. Wędrowny cyrk jest poręczką wielkiego świata, do którego trzeba przyjąć, który trzeba rzucić na deskę. Nie wystarczy do tego siła fizyczna — ta może uczynić tylko gladiatora. Obcość rzeczywistości daje się przewyczyć jedynie siłą własnej osobowości. Świat „Aria dla atlety” — zewnętrznie odczłowieczony, można podporządkować poprzez wypełnienie życia ludzkimi wartościami, które wyraźnie ujawniają się w losach Góralewicza. Godność, przyjaźń, odwaga — pozwalają kształtować własny los w świecie wbrew niemu. Wieleletnie, uparte poszukiwanie życiowych przeciwników — głoszący braci Absów, nadaje sens działalności bohatera, który bez tego skazany był — jako zapasnik — na działalność wobec świata wyczerpanej usługową. Rzeczywistość jest szlachetniejsza, podzielił ostatecznie utrwalone, ale arena może być miejscem autentycznej rywalizacji. Inność gwarantuje jedynie miejsce w cyrkowym panopticonie osobowości. Zwyczajność skazuje pozostałych na los kłowna — portiera hotelowego, czy kelnera — dyrektora cyrku. A nad wszystkim góruje opera — to najbardziej sztuczne w sztucznej świecie. Tak bardzo sztuczne, że aż odrywające się od całości. Najgroźniejszy przeciw-

nik i zarazem największa fascynacja Góralewicza. Monstrualne uosobienie absolutu. Z nim właśnie może zmierzyć się bohater, z operą był jak równy z równym (koncowa scena: Góralewicz po zwycięstwie nad Abssem, fontanna, wysoko światła opery). Całą swoją historię, swój — przez siebie samego ukształtowany — los, utrwalał w marmurowych Atlasach, które Góralewicz ofiarował własnie operze. Jest to ostateczne zwycięstwo. Najwspanialsze i najbardziej gorzkie, bo będące jednocześnie pożegnaniem z przeszłością, z całym życiem. Posągi pozostają w wielkim gmachu; prawdziwie ludzkie wartości trwają w tym dziwnym, obcym świecie. Podobnie jak nigdyś galicyjscy cyrkowi pariasi — czekając na swój wielki dzień, wielką chwilę w światłach areny.

Ceniąc zawartość myślową i w pełni indywidualne walory estetyczne „Aria dla atlety” trzeba jeszcze raz podkreślić wyjątkowość tego filmu w bieżącej produkcji. Rzadko mamy do czynienia z filmami, w których rezygnacja z tematyki jawnej teraźniejszej nie sprzeczna jest z odejściem w problemową nijakosć. W sytuacji, gdy emocje wywołują przede wszystkim tematy współczesne, podjęcie problemu nawiązującego do teraźniejszości myślenia, a nie miejscem i czasem akcji — jest przedsięwzięciem szczególnie trudnym. Zwłaszcza, że był to nie tylko debiut Bajona, ale prawie całej podstawowej aktorско-operatorskiej ekipy (Krzysztof Majchrzak — Góralewicz, Jerzy Zielinski — autor zdjęć). Debiut wyznaczył jego autorom wysoki poziom; ale nie byłoby dobrze, gdyby kiedyś miał ktoś o to do nich pretensję.

ANDRZEJ PAWŁOWICZ



**W UKŁADZIE SŁONECZNYM**  
Rozwój kosmonautyki, a przede wszystkim wyzwanie sztucznych sond kosmicznych przyczynia się do poznania Układu Słonecznego. Sondy lądujące na Marsie czy na Wenus rozwiły wiele poprzednich przypuszczeń. Wysłane w przestrzeń kosmiczną Układu Słonecznego dają fotografie oddalonych od Słońca i Ziemi planet: Saturna, Jowisza i ich satelitów. Wszystkie te wiadomości zmuszają do rewizji naszej wiedzy o planetach Układu Słonecznego, do szukania nowych wyjaśnień.  
T. Zbigniew Dworak i Konrad Rudnicki postanowili wyjąć naprzeciw rosnącemu zainteresowaniu Kosmosem i naszym Układem Słonecznym. Srebrzowali więc nam za pośrednictwem PWN, w serii Biblioteki Problemów, interesującą książkę „Świat planet”. Jest to książka, która daje czytelnikowi zasób wiedzy historycznej o poznawaniu Układu Słonecznego, jak i wiedzy aktualnej. Autorzy uwzględnili wyniki najnowszych badań i jest to ich niewątpliwym sukces. Świadomi są oni tego, że — jak sami to przyznają — hipotezy Ericha von Dänikena i jego naśladowców rozbudziły zainteresowanie astronomią, budową planet i Układu Słonecznego. A więc dają tym czytelnikom maksimum wiedzy o Układzie Słonecznym, jak też sporo nowych hipotez, pozwalających lepiej zrozumieć to wszystko, co się w Układzie Słonecznym dzieje i dzieło oraz nasz wysiłek poznania prawdy na ten temat.  
Polecając tę książkę naszym czytelnikom, chcemy zrobić dwa zastrzeżenia. Na ogół obwinia się Ericha von Dänikena o wszelkie niebывале pomysły na temat kosmicznych kontaktów. A przecież nie on był pierwszy. Żeby nie być gołosłownym wystarczy wymienić Konstantego Ciolkowskiego czy radzieckiego fizyka M. M. Agresta, nie wspominając już o A. Kazancewie. W innych krajach też znaleźli się ludzie o podobnie myślicy, którzy wpadli wcześniej na pomysły głoszone przez E. von Dänikena.  
Po drugie — z metryczki wynika, że „Świat planet” podpisano do druku we wrześniu 1978 roku, druk ukończono w październiku 1978 roku. W księgarniach książka ta ukazała się dokładnie w rok po ukończeniu druku. Dlaczego?

T. Zbigniew Dworak, Konrad Rudnicki — „Świat planet”, PWN, 250 tom Biblioteki Problemów, Warszawa 1979, str. 226, cena zł 30.—

**Z HOTELU DO HOTELU**  
Władysław Górnicki jest znakomitym reporterem. A jeśli dodać do tego, że z racji swoich obowiązków i zainteresowań jest reporterem podróżującym po świecie, trudno się więc dziwić, że książki jego szybko znikają z księgarskich półek. I nie tylko dlatego, że półki te są pozornie zaphane, a z kupmem czegoś interesującego i poszukiwanego są nieustannie kłopoty. Książki Władysława Górnickiego zawsze budzą powszechną zainteresowanie czytelników. Ot, choćby nieapomniany „Wielki świat”.

Tym razem Władysław Górnicki dał nam książkę zupełnie inną. To jakby imponująca seria jego wielkich reporterskich wypraw. Reporter musi gdzieś spać, jeść, odpoczywać. Reporter mieszka przede wszystkim w hotelach. O tych najwspanialszych i tych najbardziej, ale niebezpiecznych, po których gdzieś trzeba spojrzeć po trudach podróży, gdzieś złożyć strudzoną reporterską głowę.  
Władysław Górnicki pisze ładnym językiem. Nie powstrzymuje się przed sformułowaniami w rodzaju „nie oszczędzając nazw hoteli, a w tym szczególnie łódzkiego Grand Hotelu”. Stąd jego książkę czyta się z przyjemnością, a odkłada z żalem. Z kart „Ballady hotelowej” powiłało na nas wielki świat. Byłimw świadkami różnych przegód, jakie przeżywał autor. Wszystko się jednak skończyło. Ale nie martwmy się, Władysław Górnicki pisze już pewnie następną książkę.

Władysław Górnicki — „Ballada hotelowa” — Ilustracje: Andrzej Kowalczyk, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1979, str. 150, cena zł 20.—

**NOWY ŚWIAT**  
Krajowa Agencja Wydawnicza wypuściła na rynek nową serię: „Opowieści 2000 roku”. W ramach tej serii ukazały się reportaże Adama Hollanka „Sposób na niewiadome”. Są to reportaże o odkryciach naukowych, pracach uczonych, trudnym zdobywaniu Kosmosu, o poznawaniu świata fizyki, biologii.  
Adam Hollanek otwiera w swoich reportażach przed czytelnikiem zupełnie nowy świat. Świat nauki i świat ludzi, którzy tej nauce poświęcają życie. Reporter stara się na ogół pokazać swemu czytelnikowi te wydarzenia, procesy, zjawiska, których on sam nie zobaczy, opisuje wielkie i małe wydarzenia, przy których czytelnik nie może być obecny, bo dzieła się one daleko, albo już się stały i reporter odwiera je poprzez opinie świadków. Adam Hollanek wybrał szczególnie trudną dziedzinę: naukę, świat techniki, pionierskich nieraz badań i odkryć; usiłuje pokazać je ludziom. Robi to z wielkim powodzeniem. Umie zainteresować czytelnika trudnymi sprawami, pokazać ich sens i znaczenie.  
Adam Hollanek — „Sposób na niewiadome”, KAW, Warszawa 1978, str. 203, cena zł 25.—

# ARENA I OPERA

Wajdy, czy „Na wylot” Królikiewicza, mimo że ich akcja toczyła się w epokach historycznych, ale w rzeczywistości dość odległych, a liczba widzów tych filmów była całkowicie różna. Można by natomiast wymienić wiele filmów dziesiątych lat, a pozostawiających nas w stanie doskonałej obojętności. Akcja „Aria dla atlety” rozgrywa się w skondensowanych przez wspomnienia bohatera kilku dziesięcioleciach przełomu XIX i XX wieku, ale w swej humanistycznej perspektywie wydaje się problemowo żywa. Uzasadnienie historii ekranowej atletry — Władysława Góralewicza zyciorsem słynnego Zbyszka Cyganiewicza, można spokojnie odłożyć do rejestru

rych każdy ma własną odrębną historię, przywołują dzieje ich właściciela. Góralewicz wspomina: wkraczamy w niezwykle czoły, w których „świat był takim, jakim chciał się, aby był”.  
Niecodziennosc filmowego świata, jego przesztetyzowanie aż do granic kiczu, nagromadzenie obrazów atakujących swoją monumentalnością, wypełnienie kadrow przedmiotami reprezentującymi tandetność jarmarcznej budy i przepych mieszczańskiego salonu, zaludnienie postaciami wykonującymi kabotyńskie gesty i grymasy, przesycenie ciężką atmosferą burżuazyjnych refleksów dekadencji i berlińskiego fin de siècle'u — to wszystko spełnia w filmie funkcję podrzędną

Notujemy duże ożywienie w filmie telewizyjnym. Jest to zjawisko nie całkiem nowe, daje się zaobserwować od paru lat. I tu chciałbym postawić tezę, że właśnie telewizja i film telewizyjny oddziaływały pozytywnie na sytuację w naszej kinematografii w ogóle.

Wprawdzie słychać głosy, że to TV ponosi winę za przereżone widowiska w kinach. Nie wiem, czy relacja przebiega w tak uproszczony sposób. Może repertuar kinowy nie jest najlepszy. Natomiast telewizja, a ściślej rzecz biorąc, jej redakcja filmowa, zapewniła warunki dla twórczego ożywienia w naszej produkcji filmowej, poszerzyła znacznie grono sprawozdawczych reżyserów, ułatwiła debiuty.

Nagle okazuje się, że nie brak nam zdolnych młodziaków, która udowodnia już przy „pierwszym podejściu” swą znajomość języka filmowego i umiejętność operowania nim. Przypomnijmy sobie, że dawniej latami trzeba było czekać na debiut w filmie fabularnym, a ci niedzielni debiutujący okazali się często absolutnie niesprawnymi. To z kolei zastrzeżenie jeszcze „czujności” i producenta i paraliżowało twórczość filmową. Circulus vitiosus!

A dziś to się zmienia. Krótki film fabularny dla telewizji stanowi dla producenta mniejsze ryzyko ze względu na niższe koszty. Zapotrzebowanie na tę formę programową jest wielkie, więc jedynym wyjściem stało się pójście na szeroka współpracę z młodzieżą filmową, najczystszej absolutnie łódzkiej PWSFTWiT. Na przykładzie Kieślowskiego, Titkova, Marczewskiego, Andrejewa, Barańskiego... (mogłbym jeszcze ciągnąć te listę, ale nie chcę zamieniać felietonu w książkę telefoniczną)... okazało się, że przyczyny kryzysu sztuki filmowej w Polsce w latach sześćdziesiątych i początku siedemdziesiątych były raczej natury strukturalnej. Do ubiegłego tygodnia byliśmy świadkami nowego debiutu reżyserów na małym ekranie. Filmem „Bezpośrednie połączenie” wystartował przedstawiciel najmłodszej ge-

neracji naszych filmowców Juliusz Machulski. Widzowie telewizyjni zapamiętali go jako bohatera znakomitego filmu Kieślowskiego „Personel”. Nie trzeba też wielkiego wjawmienia, by wiedzieć, że jest synem znanego małżeństwa aktorско-ryżerskiego, Halny i Jana Machulskich.

reżyser nie traci kontaktu z autentycznym życiem.

To silne zakotwiczenie w otaczającej nas rzeczywistości, wrażliwość na jej blaski i cienie, umiejętność doznawania barw pastelowych w tworzeniu postaci ekranowych, stanowi o tym, że film Machulskiego — choć może nie zachwyca konserwów — trafi z pewnością do przekonania masowego odbiorcy.

W „Bezpośrednim połączeniu”, zawarte są elementy dydaktyki społecznej. Z pewnością tak. Cała seria filmów pod wspólnym zawołaniem „Sytuacje rodzinne” ma za zadanie wyliczyć pewne szersze wnioski z jednostkowych, zwyczajnych, na niewielką często skalę ludzkich dramatów. W przypadku filmu Machulskiego chodzi o zachowania ludzkie w obliczu cudzego nieszczęścia. Zjemy w czasach, w których procesy dezintegracji w stosunkach międzyludzkich przybierają często niepokojące objawy. Dorabiamy się, zdobywamy z trudem mieszkanie, urządzamy je, startujemy do własnego „malucha”. Zaobserwowaliśmy ta krzątanią osłabiamy nierządnie wiec społeczną z odroczeniem, obojętniejszy na cudze zmartwienie i cierpienie. Dopiero gdy w gra wchodzi życie ludzkie, następuje pewne przebudzenie. Okazuje się, że nie zanikło w ludziach poczucie solidarności z innymi, zostało tylko zagłuszone.  
Tajemniczy telefon wzywający pomocy uruchamia w bohaterach filmu Machulskiego owe naturalne, choć przytłumione mechanizmy. Choć nie bez oporów, w starciu z własnym egoizmem i wygodnictwem, budzi się przecież bezinteresowny odruch dobrej woli, który staje się zaradliwy. A zatem nie wygaśli w nas cieplesze uczucia, choć kryja się głęboko pod zastęplą lawą obojętności wobec bliźnich.  
Nie do jednego chyba to założenie filmu przemówi.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

# TAJEMNICZY TELEFON

Obecnie pierwsza samodzielna próba. Wynika z niej, że Juliusz Machulski wziął kurs nie na film artystyczny, ale na przywołaną produkcję użytkową, jakiej widz w Polsce jest spragniony. Może nie zawsze konsekwentnie lawruje reżyser w swym filmie między tym co serio, a tym co groteskowe. Może można by to i owo zarzucić prowadzeniu aktora. Może wreszcie nie wszystkie ekranowe dowcipy są najwyższej próby. Ale nie zapomnijmy, że to debiut!

Natomiast co dla mnie rzecz niewątpliwa, to to, że Machulski nie jest w filmie człowiekiem przypadkowym i że nie powiązania rodzinne utworowały mu drogę do kamery. Do zasadniczego zalet filmu „Bezpośrednie połączenie” zaliczylibym prawdę życiową, która emanuje z ekranu. Nawet w miejscach, w których fabuła ociera się o banał,

wiszę w praktyce dotyczy to zawsze tylko części widzów, ale nie byłoby wystarczające, gdyby wiedzę o Julianie Marchlewskim ograniczyć do przekazanej przez — interesujący składnąd — film Konstantego Gordona „Garsć wspomnień”.

Bliżko tej grupy znajdują się filmy oświatowe o tematyce religioznawczej („Apokalipsa”, „Zmartwychwstanie bogów”, „Bogowie hinduizmu”). Zarówno potrzeba społeczna tych filmów, jak i projektowana wiedza o tych problemach u adresata, wyznaczają ich poziom naukowy i konstrukcję. Dwa kolejne filmy Leszka Skrzydły (w tym jeden z cyklu „Biblia”) można — tak jak poprzednie — cenić za konkretne informacje i sposób ich

przekazania nie pozbawiony walorów artystycznych.

Wreszcie ostatnia grupa filmów wartych odnotowania: filmy dokumentalne zrealizowane w konwencji reportażowej („Na XXXII sesji ONZ”, „Kolejny front: Ho”, „Pięści i karabiny”, „Na hasło: ratunek”). W przypadku pierwszego z wymienionych tematyka zawarta jest w tytule. Z poznawczego punktu widzenia jest to film istotny, zwłaszcza że w przekonujący sposób podkreśla udział Polski w działalności ONZ. Dwa następne filmy — o politycznym tle konfliktu chińsko-wietnamskiego (zrealizowany jeszcie przed zimą br.) i o dniu dzisiejszym rewolucji w Etiopii — zwracają uwagę aktualnością swoich tematów. Natomiast „Na hasło: ratunek”, to reportaż z ubiegłej zimy, dokumentujący prace wojska przy likwidowaniu skutków żywiołowej klęski. Mimo uznania pewnej wartości tego filmu, trudno oprzeć się wrażeniu, że jest to reportażowe powielenie informacji prasowych. Cel takiej

realizacji to wyłącznie utrwalenie, udokumentowanie autentycznych wydarzeń — dziś powszechnie znanych. Jutro będą one zapomniane. Z takiego punktu widzenia omawiany film może się obronić i to nawet przed zarzutami mało pomysłowej konstrukcji dramatycznej.

Nie sposób omówić wszystkich, obecnych na przeglądzie filmów (ze 109 zgłoszonych, aż 48 znalazło się w Łodzi). Werdikt jury przyznający Grand Prix filmowi Wojciecha Maciejewskiego „Wiatr przedwiośnia” — przedstawiającemu poglądy Stefana Żeromskiego w pierwszym okresie po odzyskaniu niepodległości (film skonstruowany w znacznej części z autentycznych, archiwalnych materiałów filmowych) — wydaje się znaczący. Wyróżnienie filmu o tematyce dość od współczesności odległej podkreśla — jeżeli nie ogólne słabości filmu dokumentalnego —

to na pewno brak utworu tej rangi, jakim był przed czterema laty na łódzkim przeglądzie „Zyciorys”.

Wiele ważnych, wartych sporelmentyzowania tematów zostawia nasz film poza obszarem zainteresowań. Zabrakło filmów o problemach młodzieży (stąd chyba nagroda dla wspomnianego „Czasu entuzjastów”, uznanego za najlepszy film o tematyce młodzieżowej), o problemach partii (potrzebę takich filmów zgłaszały uczestnicy przeglądu). Film społeczno-polityczny powstający często na zamówienie, musi — wręcz dla umotywnienia racji swojego istnienia — wkraczać w tematy skomplikowane, a te zazwyczaj są najważniejsze. Tylko wówczas będzie istniała szansa przełamania do końca powszechnej dość świadomości, że film społeczno-polityczny wciąż jest nie najciekawsza częścią twórczości oświatowej i dokumentalnej.

PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI

# CZASU TERAŹNIEJSZEGO

cenne inicjatywy (przywracanie inwalidów normalnemu życiu i społeczna opieka nad starcami) zderzają się z bezduszną rzeczywistością. Dokument „Gwiazda pomyślności” Tadeusza Pałki o problemach alkoholizmu — wstrząsającą swoją zawartością informacyjną (3 miliony pijanych codziennie, 5 milionów — 5 razy w tygodniu) — nie stara się jednak pogłębić problem poprzez próbę wyjaśnienia przyczyn takiego stanu rzeczy. Przytoczone tu

nowią utwory o tematyce historycznej (m. in. „Sejm zewnętrzny”, „Garsć wspomnień”, „Na Anioł Chłopski”, „O polskości śląskiej ziemi”, „Wiatr przedwiośnia”). Wartością tych filmów jest przede wszystkim zasób wiedzy, syntetycznych informacji, które przekazują widzowi. Filmy te można ocenić wysoko, przy zastrzeżeniu, że ich funkcja polegać ma na zainteresowaniu odbiorcy przedstawianą tematyką. Mają one stanowić wstęp do niej. Oczy-

wiście w praktyce dotyczy to zawsze tylko części widzów, ale nie byłoby wystarczające, gdyby wiedzę o Julianie Marchlewskim ograniczyć do przekazanej przez — interesujący składnąd — film Konstantego Gordona „Garsć wspomnień”.

przekazania nie pozbawiony walorów artystycznych. Wreszcie ostatnia grupa filmów wartych odnotowania: filmy dokumentalne zrealizowane w konwencji reportażowej („Na XXXII sesji ONZ”, „Kolejny front: Ho”, „Pięści i karabiny”, „Na hasło: ratunek”). W przypadku pierwszego z wymienionych tematyka zawarta jest w tytule. Z poznawczego punktu widzenia jest to film istotny, zwłaszcza że w przekonujący sposób podkreśla udział Polski w działalności ONZ. Dwa następne filmy — o politycznym tle konfliktu chińsko-wietnamskiego (zrealizowany jeszcie przed zimą br.) i o dniu dzisiejszym rewolucji w Etiopii — zwracają uwagę aktualnością swoich tematów. Natomiast „Na hasło: ratunek”, to reportaż z ubiegłej zimy, dokumentujący prace wojska przy likwidowaniu skutków żywiołowej klęski. Mimo uznania pewnej wartości tego filmu, trudno oprzeć się wrażeniu, że jest to reportażowe powielenie informacji prasowych. Cel takiej

realizacji to wyłącznie utrwalenie, udokumentowanie autentycznych wydarzeń — dziś powszechnie znanych. Jutro będą one zapomniane. Z takiego punktu widzenia omawiany film może się obronić i to nawet przed zarzutami mało pomysłowej konstrukcji dramatycznej.

PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI

# KIM JEST PIEKARZ

Rozmowa z prezesem RTS WIDZEW  
— LUDWIKIEM SOBOLEWSKIM

— Co się stało z drużyną piłkarską Widzewa? — jest to pytanie, które zadaje sobie wielu kibiców. Wicemistrz Polski znajduje się nagle na 13 pozycji w ligowej tabeli i na dodatek gra coraz słabiej. Odpada z rozgrywek w Pucharze Polski. Dlaczego tak się dzieje?

— Mimo nie najlepszej lokaty w tabeli ligowej, mimo niepoehlebnych ocen, dawanych meczom Widzewa przez dziennikarzy i kibiców, trzeba przecie powiedzieć, że do pewnego czasu drużyna spisywała się niezłe. Ba, wygraliśmy nawet ze St. Etienne. Również po powrocie z Francji drużyna, nie mając czasu na regenerację, rozegrała niezły mecz z Legią. I dopiero przyszedł fatalny mecz z Wisłą, kiedy się wszystko załamało.

— Ale dlaczego? Jakimi były powody?

— Powody są dosyć złożone. W piłce nożnej nie się dzieje nagle. Trzeba długiej pracy, aby dojść do sukcesów i wiele różnych przyczyn składa się na kryzys. Proszę przeanalizować skład zespołu Widzewa. Kto w ostatnim czasie przyszedł do drużyny? Wrócili do drużyny Surlit i Smolarek. Przyszli Dąbrowski, Pięta, Romke. Dąbrowski nie spełnił pokładanych w nim nadziei, jego przysięgi towarzyszyły nieprzyjemne dla nas okoliczności. Romke dopiero startuje. Na razie, liczy się więc tylko Pięta. A ilu odeszło?

Odeszli Janas, Chodakowski i Kostrzewski, którzy stanowili o sile obrony Widzewa. Odeszli Pyrdol, którego grze zawdzięczają rozwój swoich możliwości Boniek i Blachno. Kowenicki już mniej myśli o grze w drużynie. O jakimś urzędzeniu się myślą też Burzyński, Grębosz i Możejko.

— Drużyna starzeje się. A gdzie są młodzi?

— Drużyna podlega też kontuzjom. Proszę popatrzeć na zagraniczne zespoły. Tam, jak nie gra jeden dobry, wysokiej klasy zawodnik, to trener zastępuje go innym, wcale nie gorszym. U nas w drużynach pierwszej ligi w zasadzie jest po sześciu, siedmiu dobrych zawodników, reszta gra w pierwszoligowym zespole, bo nie ma kto grać. Taka jest prawda. I jak przyjdą kontuzje, to czasem i tak bywa, że się szybko likwiduje ich skutki, aby zawodnik mógł wyjść na boisko, co umiemy. A tymczasem ławki są pustki. Dlaczego?

— Pytała pani jeszcze o młodych...

— Tak. Wiele przecie mówi się o tym, że na ławce rezerwowych powinna siedzieć kolejka młodych piłkarzy, którzy czekają tylko, aby wejść na boisko i pokazać, co umiemy. A tymczasem ławki są pustki. Dlaczego?

— Po prostu, mało szkolimy młodych. Tak się utarło, że do drużyn pierwszej ligi przychodzi na ogół wybijający się zawodnicy z drugiej ligi, a do drugiej z niższych. Teraz ten ruch został zatrzymany. Co prawda nie dla wszystkich.

— Dla kogo — nie?

— Czy ja naprawdę muszę wymienić te kluby? Przecież i my, i kibice doskonale wiemy, które drużyny pierwszoligowe uzupełniają swoje składy, zresztą omijając przepis o nieprzechodzeniu zawodników z drugiej ligi do pierwszej.

Inna sprawa, ja rozumiem interes kadry. Bardzo przeżyłem mecze, po których nasze drużyny wypadły z rozgrywek. Ale wydaje mi się, że zbyt długie zgrupowania przed meczami wytrącają piłkarzy z ry-

mu. Po dłuższej przerwie — wiadomo — gra się gorzej.

— Inne reprezentacje zbierają się krótko przed meczami i grają dobrze. Ale tam gromadzi się piłkarzy dobrze wyszkolonych technicznie, będących w dobrej kondycji. Omawia się z nimi tylko założenia taktyczne. U nas, na zgrupowaniu, często naprawia się błędy w wyszkoleniu, usuwa się braki. Założenie jest takie, że kluby mają przygotowywać kadrowiczów, ale kluby się z tego nie wywiązują. Co więc robić?

— Czy pani wierzy w to, że pierwszoligowego piłkarza jeszcze się czegoś nauczy?

— Powinien przyjąć dobrze przygotowany technicznie. Ale często nie przychodzi.

— W pierwszej lidze uczy się go taktyki, doskonalą się jego wcześniej zdobyte umiejętności. Tu zdobywa doświadczenie piłkarskie, dojrzewa. Na naukę kopania piłki nie ma już czasu. Tego powinien być się nauczyć wcześniej.

— Dlaczego się nie nauczyli?

— Bo młodzi nie powinni szkolić najlepszych trenerzy.

— Ale nie szkoła. Dlaczego?

— Dlatego, że są wielkie różnice między trenerami pierwszoligowymi, a trenerami uczącymi młodzież. I dopóki to się nie zmieni, dopóty będziemy mieli kłopoty z brakiem dobrze wyszkolonej młodzieży. A poza tym, czy pani myśli, że my w klubie, że inne kluby, oceniają trenera za to, że nauczył piłkarzy dobrej techniki, czy za to, że zdobywa lub traci ligowe punkty?

— Nie ma wątpliwości, że za punkty. Zresztą RTS Widzew też zmienił trenera, gdy drużyna znalazła się w krytycznym położeniu.

— To nie tak. Myśmy wcale nie myśleli o roztaniu się ze Stanisławem Świerkiem. Zdał nam sobie sprawę z tego, że znalazł się w trudnym położeniu, ale nie chcieliśmy ingerować. On sam doszedł do wniosku, że nie da rady. Odszedł za obustronnym porozumieniem. My Stanisław Świerka dobrze w klubie oceniamy. To on przecie doprowadził drużynę do wicemistrzostwa.

— Trochę mu chyba pomogła praca wykonana przez poprzednika, Bronisława Walię, który też zresztą odszedł niespodziewanie. Dlaczego?

— To była inna sprawa. Rozstaliśmy się z trenerem Walięm nie dlatego, że mieliśmy zastrzeżenia do jego pracy szkoleniowej. Tu zdecydowały jego plany osobiste.

— W pierwszej lidze ciągle zmienia się trenerów. Rozumiem, że łatwiej zostaje trenerem niż piłkarzem, kiedy dochodzi między nimi do konfliktu. Rozumiem, że łatwiej, poprzez zmianę trenera, szukać wyjścia z kryzysu drużyny. Ale przecie krag trenerów jest dość wąski. Odnosi się takie wrażenie, że jest to przedstawianie pionków na szachownicy, z którego niewiele wynika. Czy podziela pan ten pogląd?

— Nie, choć przyznaję, że rzeczywiście krag trenerów jest dość szczypliwy. Uważam, że do grona trenerów powinni dołączyć młodzi, że ci młodzi powinni trochę „poterminować” za granicą, otrzęść się o wielką piłkę nożną, podpatrzeć, jak tam się szkoli. Jest to niezbędne, by nie kisić się we własnym sosie.

Dlatego jednak nie podzielałam tego poglądu, o którym pani mówiła? Trenerów zmienia się na całym świecie po prostu dlatego, że jest to jedyna, i, jak do tej pory, najlepszy sposób na odmianę w pracy zespołu. Praktyka pokazuje, że nowy trener na ogół osiąga dobre wyniki. Tak zresztą postępuje się również za granicą, gdzie kluby sprawdzają trenerów nawet z innych krajów i bardzo sobie to chwala. Nas na taki luksus nie stać i to z dobrze wiadomych powodów.

Zresztą, proszę zwrócić uwagę, że RTS Widzew na ogół sięga po trenerów młodych, mało znanych, którym daje szansę na osiągnięcie dobrych wyników i zdobycie doświadczenia. Przecież to w Widzewie ukształtowały się trenerkie zdolności Leszka Jezierskiego. Stanisław Świerk też zdobył u nas doświadczenie niezbędne do pracy z pierwszoligową drużyną i sądzę, że każda następna dobrze poprowadzi. Ta praktyka przynosi sukcesy i nam, i trenerom.

Postąpiłbym zgodnie z tą

zasadą, proponując pracę trenera pierwszoligowej drużyny Jackowi Machcińskiemu, który rozpoczął pracę trenerską właśnie w Widzewie. Był asystentem Leszka Jezierskiego. Prowadził drugoligową Resovię, osiągając dobre wyniki. Trenował z Leszkiem Jezierskim piłkarzy Ruchu i razem wywalczyli tytuł mistrza Polski. Jest magistrem wychowania fizycznego. Mieszka w Łodzi wraz z rodziną i z Łodzią jest związany. Teraz akurat był wolny. Dajemy mu szansę na poprowadzenie drużyny pierwszoligowej, szansę na pokazanie swoich umiejętności. Wierzę, że Machciński spełni pokładane w nim nadzieje. Jego asystentem będzie nasz były zawodnik, Wiesław Chodakowski, który wraca do nas z pabianickiego Włókniarza. Obaj z dużym zapalem przystąpili do pracy, bo to dla nich szansa wejścia do trenerskiego grona pierwszej ligi.

— Od wielu lat obserwujemy pewną prawidłowość: najlepsze drużyny w danym sezonie grają stabilnie w następnym. Zajmują dalsze miejsca w lidze, bo przygotowują się do meczów w europejskich pucharach. Ale i w tych meczach nie odnoszą większych sukcesów. Ten rok przyniósł generalną klępkę. Zresztą i reprezentacja nie spisała się najlepiej. Czy naszych najlepszych drużyn nie stać na w miarę równą grę?

— To jest chyba naturalne, że jak drużyna zdobędzie tytuł mistrzowski, wicemistrzowski, albo Puchar Polski, to już później inaczej patrzy na grę w lidze, bo chce dobrze wypaść w konfrontacji z zagranicznymi drużynami. Dobrze zagraniczny mecz w europejskich rozgrywkach pamięta się długo. Zostaje on wpisany do historii polskiej piłki nożnej. To się liczy. Trudno więc dziwić się, że zespoły chcą mieć na swoim koncie taki mecz.

Wspomniałem już, że nasze drużyny, mają nie po 16 — 18 zawodników dobrej klasy, ale po sześciu, siedmiu. Gra o wysoką stawkę w poprzednim sezonie wyczerpuje tych najlepszych najbardziej. Później nie ma ich kim zastąpić. Muszą się nadal eksploatować. A poza tym, jak to u nas jest w związku, sukcesy zostaje odświętowane, drużyna rozluźnia się, opada napięcie i zespół gra słabiej, nierówno, przegręwa. Natomiast zespoły, które plasowały się w środku tabeli, włożyły w to mniej wysiłku i teraz mogą przystąpić do ataku na czoło tabeli.

Proszę sobie przypomnieć ten okres, kiedy Górnik czy Legia zdobywały sukcesy rok po roku. Dlaczego mogły to osiągnąć? Bo wówczas w ich drużynach nie było tak wielkiej różnicy w wyszkoleniu i zdolnościach między piłkarzami, bo było kim zastępować tych dobrych, tak tajemnicza. A teraz tego nie ma.

— Nie sądzi pan chyba, że nie ma u młodych, zdolnych piłkarzy?

— Są, ale już wspominałem, że ruch między drużynami został zahamowany. Ci młodzi nie mogą dostać się do drużyn pierwszej ligi.

— Ten zakaz teraz chyba zostanie uchylony? Powszechnie się przecie mówi, że bez poprawy sytuacji w pierwszej lidze, nie poprawi się poziom gry reprezentacji. I to nie ulega wątpliwości.

— Tego nie osiągnie się drogą działania administracyjnego.

— A co trzeba zrobić?

— W moim przekonaniu musi przetrwać wszystkim wzrosnąć autorytet PZPN. PZPN nie powinien ulegać różnym wpływom. PZPN powinien w jednolity sposób traktować wszystkie kluby. Działacze z PZPN muszą uważnie słuchać tego co mają do powiedzenia działacze klubowi, a jeżeli już tego słuchają, powinni wyciągać z naszych uwag właściwe wnioski.

— Wśród kibiców panuje przekonanie, że PZPN szczególnie obojętnie zachowuje się w stosunku do klubów z Łodzi. Na przykład po pucharowej śródzie, kiedy Widzew grał trudny mecz z drużyną St. Etienne, następnego spotkania rozegrał z Legią w sobotę, a Arka i Ruch grały w niedzielę.

— My prosiłszy Legię o przełożenie meczu na niedzielę, ale Legia się nie zgodziła. Liczyła, że łatwo zdobędzie dwa punkty. Rozmawialiśmy w PZPN, ale nam powiedziano, że nie ma dla nikogo wyjątku. Potem się okazało, że Arka i Ruch

grały jednak w niedzielę. Na nasze pytanie, dlaczego tak się stało, nie otrzymaliśmy z PZPN jasnej odpowiedzi.

— Wprowadzono Kartę Praw i Obowiązków Piłkarza. Czy to w jakiś sposób przyczynia się do rozwiązania sprawy piłki nożnej?

— Karta niewątpliwie przyczyniła się do unormowania wielu spraw, ale jak każdy akt prawny, ma też pewne luki.

— W komentarzach na temat tej Karty nie wyszło się poza ogólności. Jakimi są jej istotne postanowienia?

— Istotą Karty jest unormowanie spraw piłkarza, spraw związanych z jego placą miesięczną, nagrodami za rozgrywane mecze ligowe i międzynarodowe oraz sprecyzowanie czasu gry w danym zespole. Karta precyzuje też prawa i obowiązki piłkarza oraz klubu, w którym dany piłkarz gra.

— Do tej pory piłkarze mieli i po trzy etaty. Karta to zlikwidowała. Jak w tej chwili wyglądały zarobki piłkarza?

— Jeżeli przyjmiemy, że klub, w którym gra piłkarz, zdobywa minimum 16 punktów, to całość miesięcznych zarobków piłkarza wynosi około 16 tysięcy złotych.

— Czy przedtem piłkarze otrzymywali więcej pieniędzy?

— Z tego rozeznania, jakie mam, to otrzymywali trochę więcej. Na przykład, według dawnego przepisu, piłkarze ligowi otrzymywali pieniądze za mecze towarzyskie, za które teraz się nie płaci.

— Stąd pewnie jest mniej sparringów. Czy nie sądzi pan, że gorsza gra niektórych drużyn bierze się właśnie stąd, iż piłkarze są niezadowoleni, że im się mniej płaci?

— Tak się mówi. Zastanawiałem się nawet, czy gorsza gra naszego zespołu nie wynika z tych przyczyn. Zapytaliśmy wprost nasi piłkarze zaprzeczają i ja im wierzę.

— Czy to jest ta gorsza strona postanowienia Karty?

— To są skutki nie zamierzone. Karta normuje sprawy finansowe klubu i zawodników. I to jest najważniejsze. Są jednak luki, o których mówiliśmy wcześniej. Na przykład, nie ma możliwości różnicowania bodźców dla drużyn walczących o czołowe lokaty, jak i dla wybijających się zawodników. Nie ma więc możliwości premiowania większego wysiłku. Takie same stawki obowiązują w zespołach grających o tytuł, jak i tych, które chcą tylko przeczekać w lidze na bezpiecznych pozycjach. Nie ma możliwości premiowania ambicji, lepszej gry, większej pracy.

— A co pan proponuje?

— Moim zdaniem, życie samo zmodyfikuje te luki, które są w Karcie. W tej chwili wysuwanie jakiegokolwiek propozycji jest przedwczesne. Wydaje mi się jednak, że do tematu związanego z wyższym wynagrodzeniem za lepszą grę trzeba będzie wrócić.

— Skoro jesteśmy przy pieniądzu, to czy nie uważa pan, że warto sprawę dopowiedzieć do końca?

— Zawsze byłem tego zdania.

— Powszechnie się mówi o wielkich zarobkach piłkarzy i ich wygórowanych wymaganiach. Oczywiście, ludzie interesują się tymi, którzy są najbardziej widocznymi. W tym wypadku chodzi m. in. o Zbigniewa Bonkę. Mówi się na przykład, że przekazał talon na „Poloneza”, zostawiając żonie i zarządowni uzgodnienie koloru i terminu dostawy do garażu, że buduje sobie wille, że zainwestował studia, Czy to prawda?

— Jeśli chodzi o Bonkę, to jest to uczciwy i solidny piłkarz, który tak postępuje, aby nie było w stosunku do niego cienia podejrzenia. Zupełnie nie rozumiem, skąd się biorą takie plotki. Z „Polonezem” to istna bajka. Boniek buduje sobie skromną dachę a nie wille, za którą płaci tyle samo, co każdy obywatel. Stać go na to, jest to jeden z najwybitniejszych polskich piłkarzy, ceniony na świecie. Jeśli chodzi o studia, to nie rzucał ich, a przeznosił się z Uniwersytetu Łódzkiego na AWF. Z piłkarzy Widzewa na AWF studiują poza nim: Grębosz, Tokiński, Rozborski oraz Kowenicki, którzy robi już drugi dyplom.

— Mówi się również o wielkich pieniądzach, które idą na piłkarstwo. A co pan o tym sądzi?

— To się tylko tak wydaje, że są to wielkie pieniądze. Przede wszystkim, ilu jest piłkarzy w I lidze? Około dwu-

stu. Ale tych dwustu dostarcza setkom tysięcy ludzi wielkiego widowiska. Coś im się za to należy.

— Raczej dostarczali, bo teraz już nie chodzi się na mecze.

— To prawda. Kibice słusznie obrazili się na piłkarzy za to, że grają gorzej. Wracając jednak do poprzedniego pytania, to w moim przekonaniu zarobki piłkarzy nie są wcale tak duże. Drużyny jeżdżą po świecie i wiedzą, jak się płaci gdzie indziej i jaka jest organizacja futbolu za granicą. My pod tym względem jesteśmy daleko w tyle.

Wróćmy jednak do tych 16 tysięcy, które piłkarz zarabia miesięcznie. Za to trzeba utrzymać rodzinę, trzeba zapłacić mieszkanie, a to jest przeważnie mieszkanie własnościowe, piłkarz musi się inaczej odżywiać, bo musi mieć zdrowie i kondycję. Piłkarz musi się wyzwać wszystkich przyjemności, które mają inni młodzi ludzie. Przez 10 lat narażony jest na kontuzje, a mikrowstrząsy mózgu, bo musi odbijać piłkę głową, a widom podoba się efektywny strzał głową. W wieku 32 lat startuje do normalnego życia i jest to niejednokrotnie start utrudniony. Każdą chce na ten okres coś sobie odłożyć i trudno się im dziwić. Gdzie są więc te wielkie pieniądze?

A jeszcze niektórzy pod koniec kariery zaczynają się oszczędzać, aby pojechać za granicę. To też kole ludzi w oczy. Ale ilu piłkarzy pojechało za granicę? Nie każdy, kto gra w I lidze, pojedzie grać w zagranicznym klubie. A jak już pojedzie, to i tak jest to z korzyścią dla polskiej piłki nożnej. Jeśli Włodzimierz Lubanski strzela gole, to wszyscy wiedzą, że to polski piłkarz. Jeśli Jan Tomaszewski wychodzi z bramki, idzie na pole karne przeciwnika i podaje dołka, to cała Belgia to widzi i telewizja pokazuje w innych krajach fantazje i umiejętności polskiego bramkarza. Czy to w sumie nie robi dobrej reklamy polskiej piłce nożnej, która wylała takich graczy?

— Być może ma pan rację, ale ogół kibiców sądzi i nie bez podstaw, że piłkarze mają na ogół wszystko, czego sobie życzą, a czego nie mają inni młodzi ludzie w ich wieku. W zamian za to nie grają tak, jakby się tego od nich oczekiwało. Sądzi się, że dobre warunki, w jakich żyją piłkarze, rozleniwiają ich, że tracą ambicję i jest im wszystko jedno, bo klub bez nich nie da sobie rady.

— Tak się może rzeczywiście wydawać, ale rzecz jest nie w pieniądzu. Powiem wprost — jestem za tym, żeby piłkarze za swoją grę byli dobrze wynagradzani. Nie będą im wtedy przychodzić do głowy inne myśli, nie zawsze związane ze sportową walką. To, że czują się pewnie, że nie boją się konkurencji wynika po prostu z tego, że na ławce rezerwowych jest pusto. Gdyby tam siedzieli młodzi, zdolni chłopcy, to nikt nie ośmiąłby się po boisku, nie zaniechałby treningu, bo wiedzieliby, że w każdej chwili może go ktoś zastąpić i wtedy traci wszystko.

— Skoro już sobie pewne rzeczy wyjaśniamy, co pan powie na temat tego, co się mówi o sędziach i o sędziach na ligowych boiskach?

— Powiem krótko; moim zdaniem sędziom trzeba płacić za prowadzenie meczu, wtedy nie będzie barwnych opowieści o kolacyjkach w najlepszych lokalach i innych sprawach. Wtedy będzie można rzeczywiście rozliczać z ich pracy. Poza tym trzeba wreszcie młodych, nowych twarzy w sędziowskich zespołach.

— Słowem, jest pan za likwidacją fikcji.

— Już kiedyś powiedziałem w jakiejś dyskusji: Zaczniemy od odpowiedzi na pytanie, kim jest piłkarz? Jeśli na to pytanie odpowiemu precyzyjnie i szczerze, to unikniemy spraw nieporozumień i wiele spraw będzie można prosto i łatwo rozwiązać. Często jednak wiele mówi się o piłkarstwie, ale nie szuka się odpowiedzi na to pytanie.

Rozmawiała:  
BOGDA MADEJ

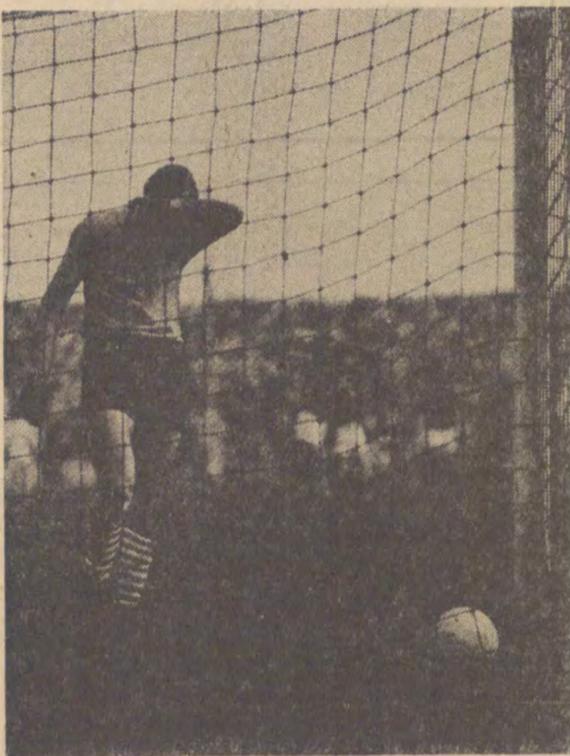


Foto: Archiwum

Lubimy się chwalić, że jesteśmy narodem pomysłowym. Dumni nawet jesteśmy z tego, że naszą pomysłowość wysoko ceni się za granicą. Boję się jednak, że teraz gdzieś tam, w głębi świata, o nas opinia, jako o znakomitych handlarzach, choć jest to handlowanie na poziomie kramikarstwa. Każdy bowiem wybierając się na zagraniczne wojaże uważa za punkt honoru wyręczyć nas, instytucjonalny handel zagraniczny. Działalność ta przynosi wprawdzie zyski globrotterom, ale sprawia też wiele kłopotu celnikom. Jednak i w tym widac naszą niepomaganą pomysłowość.

W ostatnim numerze „Przeglądu Technicznego” Ernest Skalski opisuje w felietonie „Telefon zaufania?” pomysłowość monterów łącznościowców, którzy telefonizując nowe bloki wmawiają ludziom, że ich podanie będzie rozpatrzone w drugiej kolejności, ale gdyby dało się, to się może coś poradzi. I na ogół radzi się, a ludzie wprawdzie o tym opowiadają, ale prywatnie, oficjalnie nikt nie powie, bo panowie monterzy mogą się obrazić i telefon zacznie się psuć.

Nie jest to nic nowego. Jest to metoda powszechnie znana. I to od dawna. Ernest Skalski przypomniał, jak to w latach sześćdziesiątych dziennikarska spółdzielnia mieszkaniowa oddała blok z instalacją telefoniczną, ale bez podłączenia do sieci. Interweniowano w sprawie podłączenia aż u ministra łączności. Daremnie. Aż pewnego dnia przyszli do bloku dwaj monterzy, kazali gospodarzowi domu zwołać na klatce schodowej lokatorów i powiedzieli:

„Włec chcecie mieć telefony, co? I chodziliście, pisaliście. Do samego ministra, tak? I dużo pomogło wam pan minister. Redaktorzy, do gazet piszą... No dobra! Kończymy. Ilu was jest? Po go-

ralu z mieszkania i w tym miesiącu u każdego będzie dzwoniło”.

I dzwoniło. Pomysł jest prosty i — aby być sprawiedliwym — stosowany nie tylko przez panów monterów od telefonów. Różni

## DOBRY POMYSŁ

specjaliści wykorzystują bezradność całej reszty. Jest to wszakże pomysłowość skierowana nie do właściwego celu. I nie wszyscy tak postępują. Ale zdarza się takie postępowanie, podrywające opinię tych, którzy dobrze pracują i są uczciwymi ludźmi. Cwaników nigdzie nie brakuje.

Chwalmy więc i nagradzajmy pomysłowość dobrze ukierunkowaną, choć i tu niebędą szerokie widzenie sprawy. Oto na przykład można się sygnali o awariach grzejników. Od lat wielu stosowano u nas grzejniki centralnego ogrzewania odlewane z żeliwa, solidne, inna rzecz, że pochłaniające spore ilości żeliwa. Myślę o grzejnikach żeberkowych. Ktoś wpadł więc na pomysł i wymyślił grzejniki panelowe, czyli płaskie zrobione z kawałków blachy. Być może wziął za ten pomysł sporą nagrodę. Okazało się jednak, że grzejniki panelowe nie zdają egzaminu. Po prostu dziurawią się i sika z nich ciepła woda.

Wystarczy, że w klatce schodowej w jednym mieszkaniu zacznie grzej-

nik panelowy, a już cały pion, albo gorzej, bo cały blok trzęsie się z zimna. Poszkodowany wzywa pogotowie, pogotowie techniczne przyjeżdża, ogląda szkody i zamyka dopływ ciepłej wody. Koniec. Swoje zrobili, reszta należy do hydraulików z administracji czy ROM. A ci mają takich awarii całą masę, nie spieszą się zbytnio, bo wszyscy mamy nadzieję, że się ociepli, choć robi się coraz mroźniej. Ludzie więc czekają na usunięcie awarii i marzną.

Na Górnęj w 1978 roku wymieniono przeszło 2 tysiące grzejników panelowych na grzejniki żeberkowe. Planowana oszczędność przy zastosowaniu grzejników panelowych przyniosła nieplanowaną stratę. Ale dzięki temu ludziom, w których mieszkaniach dokonano takiej wymiany, było ciepło.

Ktoś miał niewątpliwie dobry pomysł. Nie wątpię, że chciał dobrze. Ale nie może zrozumieć, dlaczego grzejników panelowych należało nie przebadano? Dysponujemy przecież nowoczesnymi urządzeniami pomiarowymi, czyż nie można było przed „panelową rewolucją” w centralnym ogrzewaniu przeprowadzić takie badania, aby nie było wątpliwości, że nowość przyniesie prawdziwe oszczędności a nie tylko złudzenia?

O dobrych pomysłach mówi się, że są na wagę złota. Jest to prawda, ale warto czasem wnikliwie pomyśleć, dobrze zbadać, aby nie ulec złudzeniom. Dobre pomysły powinny być nadal w cenie i nie tylko te, które przynoszą korzyści różnym cwanikom. Z tymi trzeba walczyć, choć to nie jest łatwe. Innym pochopnie nie ulegać. Pomyśleć, nim się zdecyduje, bo myślenie też powinno być w cenie. I to wysokie.

MARCIN RODAK

## JACEK ZAORSKI



Ba!  
Gdyby któryś z was był Dumas...

Rys: Stanisław Ibis Gratkowski  
Tekst: Mieczysław Michał Szarapan

TELEWIZJA

## „STĄPIANIE W REALIZMIE”

Biedny Juliusz Machulski. Oto wyświetlono jego film dla paru milionów widzów. Oto zaproszono go, aby po emisji filmu mógł przedstawić siebie i utwór, który zrealizował. Premiera zawsze jest dla twórcy dużym przeżyciem, zwłaszcza wtedy, gdy ów twórca prezentuje swój debiut. Nie zdążył jednak Machulski wypowiedzieć kilku zdań, bo okazało się, że będzie pełnił rolę statystującego słuchacza. Jak w „Personelu” Krzysztofa Kieślowskiego (grał tam jedną z głównych postaci). Bowiem Janusz Gazda postanowił, aby rozmowa po projekcji „Bezpośrednie połączenie” była panegirycznym podsumowaniem cyklu „Sytuacje rodzinne”. Janusz Gazda ustalił także hierarchię prezentowanych w cyklu filmów. Otóż najwybitniejszy z nich to „Niewdzięczność” Kamińskiego. Całkiem dobry był również obraz Piwowarskiego „Córka czy syn”. Redaktor naczelny polskiego filmu telewizyjnego nawet nie zerknął w stronę siedzącego obok Juliusza Machulskiego.

Oba filmy — mówił z faustyczną miną Gazda — wyróżniają się „intensywnością przeżycia”, „poetycznym oddechem” oraz „stąpieniem w realizm” (ten idiom powinien zostać wpisany natychmiast do Złotej Księgi Polskiej Frazeologii Telewizyjnej tuż po „lucie sugestywnym”, określeń Jana Ciszewskiego „szczyt dna”). Wielu może i by w oceny redaktora uwierzyło, gdyby nie Zygmunta Kałużyński. Bo i on w tej dyskusji uczestniczył. Obsiał konstrukcję fabularną filmu Kamińskiego, miał zastrzeżenia do dzieła Radosława Piwowarskiego. Zdołał także, kontrapunktując tok dywagacji Janusza Gazdy („Panie Janeczku, panie Janeczku”), wypowiedzieć kilka słów o dopiero co wyświetlonym filmie Machulskiego. Mówił Kałużyński o sztuczności „Sytuacji rodzinnych”, o ich wtórnych i wymyślonych fabułach, o tym, że ich twórcy poszukują inspiracji na marginesach aktualnej i rzeczywistej problematyki społeczno-rodzinnej. Ale powiedział także, iż zaprezentowane w telewizji filmy, na tie tych znanych z dużych ekranów (tak zwane kino tak zwanego niepokoju moralnego) wyróżniają się dodatnio („coś świeżego powiało w naszej telewizji”). Jest w tych ocenach jakaś sprzeczność. Ale jak wiadomo czas telewizyjny jest cenny i często bywa tak, że w momencie, gdy rodzi się w rozmowie przed kamerami istotny problem, audyję trzeba kończyć. Poza tym — jak można przypuszczać — pełna nawrotów erystyka Janusza Gazdy sprawiła, iż Zygmunta Kałużyński, miast wypowiedzieć swoją myśl do końca, uwikłał się w polemiki.

Biedny Juliusz Machulski. I w tym felietonie został odsunięty na plan dalszy. Czas więc skorygować proporcje. Zaczęło od tego, że pięćdziesięcioletniemu filmowi telewizyjny, jakkolwiek byśmy sobie go wyobrażili, bodaj nigdy nie będzie skończonym dziełem filozoficznym, ideologicznym czy estetycznym. Rządzą się ten gatunek, prawami skrótu, mikroscenki, prostoty dramatycznej, z grubszą zarzawianą analizą socjologiczną. Związka, gdy z góry wyznaczono czas jego emisji w programie ramowym, gdy zaplanowano go w określonym cyklu problemowym. Łatwo w takiej sytuacji popaść w publicystyczne uproszczenia, w pustą moralistykę, bądź w gołosłowne, bo pozbawione motywacji, psychologizowanie. Właśnie Machulskiemu, jak sądzę, udało się szczęśliwie ominąć te zasadzki i zrobić film bez napażzonej powagi, bez zachyłności społeczna egzotyka. Rzeczywistość, która była materialem filmu, sprowadził Machulski do jej codziennych wymiarów. A że sytuacja wyjściowa inicjująca wątek przedstawionych w filmie wydarzeń, jest pomysłem mało codziennym? „Bezpośrednie połączenie” to przecież taki thriller telefoniczno-taksówkowy, którego naczelnym zadaniem było skupić uwagę widza. I co ważniejsze, thriller ten tworzyły realne okoliczności w których żyjemy, a więc zepsuty automat, łowiłnia taksówkarzy, hipochondryczna kuzynka, sąsiad ukrzyżujący przyjaciółkę w kuchni. Ow ciał skęszów prowadził jednak do finału” refleksji, która stała się nadzwykłą tezą ideową filmu: czy rzeczywiście trzeba aż wyjątkowej sytuacji, zagrożenia, aby wrócić do moralno-etycznych zasad przyjaźni, miłości i odpowiedzialności za drugiego człowieka. Film Machulskiego stawia ten problem w sposób jasny i klarowny. Kałużyńskiego martwi niezbiorność stylizacji i gatunkowa całego cyklu. Sądzę, iż jest to sprawa najmniej istotna. Nasza telewizja lubi cykle, etykiety, wspólne mianowniki, cotygodniowe magazyny. Przeważnie jest to ład pozorny. Co gorzej ów porządek programowy zaczyna być rutyną, inercją, powielaniem tych samych tematów. Poza tym w cyklu „pod hasłem”, w magazynie łatwiej przemycić się rzeczy gorsze, niż te, które samodzielnie wolałoby o pomstę redaktorów i publiczności. A tak cykl, wspólna formuła jak jakiś pancernik ochraniają te towarowe bezładunku. Często włączając telewizor nie wiemy, czy to, co właśnie na ekranie migota, to „Rozmowy rodzinne”, „Poradnik zmotoryzowanego turysty”, czy „Dom i my”, „Dzień dobry w kregu rodziny” albo „Klinika zdrowego człowieka”. Czy to program pierwszy, czy drugi. Wypadnie jeszcze do tej sprawy wrócić. Nazwanie jakiegos zespołu filmów „Sytuacjami rodzinnymi” niewiele w rezultacie znaczy. Trzy czwarte obrazów wyświetlanych w telewizji dałoby się w ten cykl wpisać. Łącznie z serialem „Ja, Klaudiusz”. Dla jednych filmów byłaby to swoista nobilitacja, dla innych pozorne, redaktorskie wypełnianie obowiązków służbowych.

WIDOK

CWIEK

GRZEGORZ GAZDA

## ZDARZENIA I ZWIERZENIA

Niedawno podróżowałem przez wstającą do pracy i nauki poranną Polskę. Jechaliśmy przez Łowicz, Sochaczew, Błonie, Leszno, Modlin... drogami drugiej, albo i trzeciej klasy, przez wioski, wsie i osady. Było rano i wszędzie spotykaliśmy na drodze przemarnięte dzieciaki idące do szkoły. Niektóre wystawały na przystankach PKS, inne, bezskutecznie na oczach, machały rączkami na przejeżdżające samochody.

Wzięliśmy taką dwójkę — szkrabów z II klasy, podwieźliśmy do szkoły. Chłopaczki grzecznie wysiedli i potem machali nam rączkami. W samochodzie rozmawiać nie chcieli — widocznie przyuczono ich, aby nie gadać, bo „pan kierowca” robi łaskę i może wyrzucić.

A „pan kierowca” był przerażony, bo niedawno przeczytał w „Literaturze”, że 300 tysięcy dzieci jeździ „okazją” do gminnych szkół zbiorczych — lecz pierwszy raz zobaczył to na własne oczy.

Pisałem niedawno o tych sprawach w felietonie „Oświatowe refleksje” i nie będę do nich wracał. Ta scenka jednak,

to jakby egemplifikacja tego problemu.

Z tej samej podróży przywożem sobie (kupioną w większym kiosku „Ruchu”) przepiękną książkę Mateusza Siuchnińskiego, ilustrowaną przez Józefa Wilkonia — „Ilu-

raz sprawę, nie ma, jeśli nie liczyć owej muzealnej tłoczni „Odeon” (tak, tak — mieściła się tam w latach dwudziestych wytwórnia płyt „Odeon”), która dziś nazywa się „Polskie Nagrania”.

Pisałem o tej tłoczni repor-

## ROZMYŚLANIA W PODRÓŻY

strowane dzieje Polski”, wydaną pięknie przez „Interpress”. Nie wiem, ile z tych wędrujących dzieci dostanie do rąk ową cudownie napisaną i ilustrowaną encyklopedię. W każdym razie z bibliograficznego obowiązku odnotowuję: nakład 30 tysięcy egzemplarzy, cena zł 290.—

I to by było tyle w owej „szkolnej” sprawie. Druga sprawa to dylemat — czy lepiej zbudować fabrykę czy lepiej powołać Ośrodek Badawczo-Rozwojowy? Dreczy ten problem ostatnio naszą fonografię, której zresztą, na dob-

ra sprawę, nie ma, jeśli nie liczyć owej muzealnej tłoczni „Odeon” (tak, tak — mieściła się tam w latach dwudziestych wytwórnia płyt „Odeon”), która dziś nazywa się „Polskie Nagrania”.

Pisałem o tej tłoczni repor-

taż przed siedemnastu laty. Było lato i na dachu fabryczki stali ludzie polewając go wodą z hydrantów strażackich. Nie się, oczywiście, nie paliło, tylko w hali produkcyjnej panował taki skwar, że bez tego zabiegu w ogóle nie można tam było wytrzymać. Ta fabryczka na Woli w Warszawie stoi do dziś i do dziś produkuje.

Padł jednak projekt, aby zbudować nowy zakład tłoczący płyty. Jak padł sześć lat temu, tak dotąd leży. Ponieważ jednak natura nie znośi próżni, pomyślano sobie,

czy nie warto powołać Ośrodek Badawczo-Rozwojowy Fonografii? Jest to pomysł o wiele lepszy. Otóż, ilu w fabryce może być dyrektorów? Czterech, najwyżej pięciu. A w Ośrodku Badawczym? Co najmniej dziesięciu, bo fonografia to i chemia, i maszyny, i handel, i muzyka, i w ogóle socjologia kultury. A iluż tam być może np. głównych specjalistów? Też co najmniej dziesięciu... Poza tym wystarczy na dobrą sprawę jeden prawdziwy fachowiec, który wie, jaka musi być głębokość rowka na płycie i potrafi właściwie zagraniczny gramofon. A więc Ośrodek Badawczy jest zdecydowanie potrzebniejszy.

I pewnie powstanie. Takie oto podrózne refleksje przyszyły mi do głowy, gdy przejeżdżałem obok starej fabryki „Odeon”, wracając z powrotem — via Warszawa — do Łodzi. Przyszyły mi do głowy, że podróże kształcą. Czy kształcą te dzieciaki wędrujące do szkół zbiorczych — akurat wątpię. Ale ogólnie — pewno tak.

## LEWYM OKIEM

Wybór zawodu przez młodego człowieka był zawsze sprawą bardzo trudną, z wyjątkiem przypadków wielkiej jakiejś a wcześniej ujawnionej pasji. Dokonując wyboru, młodzieńcy czy dziewczyna kierowali się różnymi motywami, ale zawsze były one związane ściśle i bezpośrednio właśnie z zawodem, z czynnościami jakich on wymaga, środowiskiem i przywilejami, jakie potencjalnie zapowiada. Ktoś chciał być chemikiem, bo go ciekawiły niezwykłe cechy materii i kombinowanie tych cech, kto inny wybrał zawód włókniarza, bo ten gwarantował mu pracę w miejscu zamieszkania, jeszcze ktoś inny — zawód aktora, bo kochał się pokazywać i być oklaskiwanym.

Otóż wydaje się, że długi szereg takich dobrze znanych z doświadczenia pokoleń motywacji wzbogacił się na naszych oczach o coś całkiem nieoczekiwanego. Czytam ogłoszenie o naborze pracowników do jednego z największych kombinatów włókienniczych w Łodzi. Ogłoszenie ma charakter werbunku, a więc zawiera obietnice zjednujące, werbujące kandydatów. Wśród tych obietnic jest i taka: „możliwość uczestniczenia w Zespole Pieśni i Tańca, znanym w Polsce i w Europie”. Jest to zachęta typu: chcesz tańczyć — zostań włókniarzem. Nie, ja wcale się nie dziwię kadrowcom, którzy to ogłoszenie redagowali. Oni dobrze wiedzą, co robią. Ale widzę tu kapitalny i wieloznaczny znak czasu, nad którym warto chwilę podumać.

Ogłoszenie godzi się przecież niejako z faktem, że praca nie jest wcale najważniejszą sprawą w życiu człowieka. Ze niekonięcznie w niej szukać należy największych życiowych satysfakcji, niekonięcznie przez nią realizuje człowiek swe największe nadzieje i ambicje. Chcesz tańczyć — zostań włókniarzem.

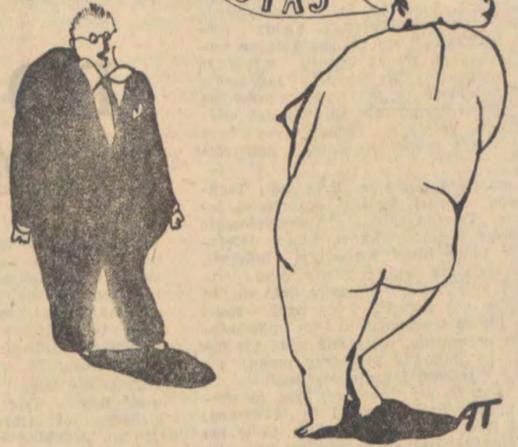
## CHCESZ TAŃCZYĆ?

Kombinat, któremu udało się wychować z własnych pracowników zespół pieśni i tańca na dobrym poziomie artystycznym, zespół jeżdżący za granicę („znany w Polsce i w Europie”) — ma wszelkie szanse po temu, że wśród jego załogi znajdzie się wiele zgrabnych dziewcząt o miłych głosach oraz wielu dobrze tupiących chłopaków. Trudno jednak założyć, że będą to chłopaki i dziewczynki lubiące stać przy samoprznościach i chcący się doskonalić w kunszcie tkania pięknych, bezbłędnych materiałów su-

# Załącznik nr. ....

491-179

TERAZ  
TUTAJ



Rys. Andrzej Tylczyński

**HASŁO NUMERU:** Zanim wejdziesz na ścieżkę zdrowia, zastanów się jak z niej zejść

## SENSACJE MAŁE I DUŻE

### Walka trwa

**ŁÓDŹ.** W bloku przy ul. Promińskiego 29 ekipy Zakładu Sieci Ciepłej nie mogą od dłuższego czasu uruchomić centralnego ogrzewania. Uniemożliwiają im to... pchły. Walka z pchłami trwa. Przewiduje się użycie środków chemicznych. A ludzie marzną.

### Gdzie jest jogurt?

**WARSZAWA.** Reporterka pewnej warszawskiej gazety wyruszyła w Polskę w poszukiwaniu jogurtu. Wrociła przekonana, że jogurt może być. Ale jogurtu nadal nie ma.

### Fantazja

**POZNAŃ.** Były kierownik poznańskiego WPK wszedł po pijanemu przez plot na

teren bazy autobusowej i ukradł autobus, którym ruszył na miasto. Zatrzymany tłumaczył się, że poniosła go fantazja.  
— A po co zostawiają kluczyki w stacyjkach? — zapytał na usprawiedliwienie.  
I nie usłyszał odpowiedzi.

### Popłoch

**KONIN.** Sad Wojewódzki w Koninie skazał dwu urzędników administracji terenowej za branie łapówek. Za 70 tysięcy złotych łapówki — 5 lat więzienia, za 50 tysięcy — 4 lata. Trzeci oskarżony, który wziął tylko 1500 zł otrzymał wyrok w wysokości 10 tys. zł grzywny i 2 lata więzienia z zawieszeniem na 4 lata.

Popłoch wśród urzędników wywołała dopiero apelacja prokuratora, który uznał, że są to łagodne wyroki.

KRONIKARZ

Z ŻYCIA SFER  
\*  
Z ŻYCIA SFER  
\*  
Z ŻYCIA SFER

## Trudno się dziwić

Krzysztof Mętrak („Piłka Nożna”) doniósł Czytelnikom, że księżka Andrzeja Makowieckiego „Kwadran Śpiącej Królowej”, której bohaterem jest piłkarz, bardzo mu się nie podobała.

Piłkarze woleliby pewnie, aby to była księżka o bokserach.

## Pretekst

Jerzy Andrzejewski („Literatura”) obejrzawszy filmową wersję „Srebrnych dzwonów” Ernesta Brylla i Katarzyny Gaertner i nazwał film „nobilizacją banału i wierszoklektwa”, szerzej wyznał, że chciałby być „dyrygentem albo psychiatrą”.

Wiadomość ta nie wywołała zdziwienia.

## Na ratunek

Jerzy Putrament („Literatura”) wezwał porucznika Borewicza z serialu „97 zgłoś się”, Bronisława Cieślaka, aby udał się do Tumlińskiego w celu wyjaśnienia zagadki, co się stało z piłkarskim sędzią. Sędzia ten po pijanemu prowadził mecz „Skaty” Tumlińskiego z „Czarnymi” Parzow. Wlezione do szpitala karetka pogotowia zbiegł do lasu. Zachodził podejrzenie, że nadal ukrywa się w lesie. A tu już zima się zbliża.

Wezwanie bez wątpienia zostanie podjęte.

SZPERACZ

Z ŻYCIA SFER  
\*  
Z ŻYCIA SFER

## Rekord?

Warszawscy budownicy zastanawiają się, czy budowany już od 14 lat przeszło 100-metrowy wieżowiec „Polimexu-Cekopu” przy placu F. Dzierżyńskiego daje im krajowy rekord w długości wznoszenia budynków?

Bywały już dłuższe budowy, ale ambicjom trzeba wychodzić naprzeciw. Jak się postarają, o może pobiją rekord, bo budowa jeszcze nie ukończona.

N. N.

Kiedy 5 lat temu nasz Czytelnik rejestrował samochód, załatwił to od ręki, na miejscu. W Wydziale Komunikacji rezydował także uczynny starszy pan z PZU, który za-

ka poda przysły numer rejestracyjny i wyda blankietek opłaty rejestracyjnej.

— udać się do PZU po blankiet opłaty ubezpieczeniowej.

— udać się na pocztę, wpłacić pieniądze.

— udać się do Wydziału Komunikacji, złożyć dokumenty

— po kilku dniach udać się ponownie do Wydziału Komunikacji po odbiór tablic rejestracyjnych.

— Wszystko to dzieje się w dobre oszczędności paliw. Do oszczędności energii (załatwiającego) jeszcze nie doszliśmy — pisze nasz Czytelnik.

Dojdziemy, dojdziemy. Szkoda tylko, że pieszko.

(Piechur)

## NA PIECHOTĘ PO SAMOCHÓD

łatwiał wszystko również od ręki.

Teraz, aby zarejestrować samochód, trzeba: — udać się do Wydziału Komunikacji na ul. Zachodnią. Tam referent-

W Pabianicach dom przy ul. M. Zymierskiego 8 obstawiony jest drabinami. Zostawili je robotnicy, którzy latem coś tam remontowali. Pozostawione drabiny wykonywały zwoleńcy podpatrywania życia na gorąco. Wechodzą oni

## ŻYCIE NA GORĄCO

wieczorami na te drabiny i zajął się ludzimi okienkami. Mają bezpłatne kino. Samo czyste życie. I to jakie różnicowane.

Sposób ten można z powodzeniem zastosować w innych miastach w których ludzie skarżą się na nudę.

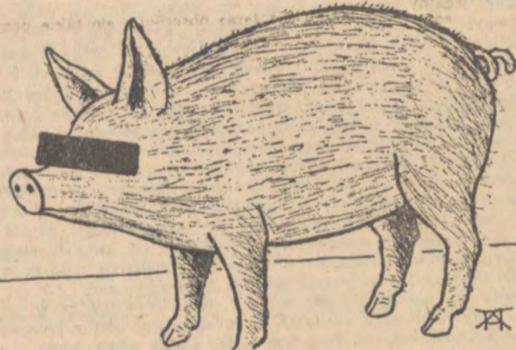
ZYG.

## Z GALERII „CZARNEGO KABARETU” DEMON SEKSU



Foto: A. Tuorkiewicz

Scena Dla Dorosłych PTL „Pinokio” — „Czarny Kabaret” Marcina Węskiego i Andrzeja Zaorskiego. Proj. plast. — Jerzy Kalina.



Rys. Andrzej Adamowicz

Ach ci wspaniali słuchacze w swych idealnie wytłumionych mieszkaniach

W pożyczonej skądinąd informacji o Kabinie stereofonicznej w sklepie WPHW przy ul. Zarzewskiej 8/10, „Głos Robotniczy” donosi:

„W idealnie wytłumionej sali, zbliżonej wielkością do pokoju w nowym budownictwie, co daje podobne warunki odbioru, można słuchać stereo, a nawet kwadrofonie”.  
W naszych idealnie wytłumionych mieszkaniach w nowym budownictwie można słuchać co najwyżej sąsiadów. Kiedy się ma ich z dwu stron, to jest stereofonia, a kiedy z czterech — kwadrofonie. Nie dziwnego, że wszyscy marzą o mieszkaniach monofonicznych.

(Głuchy)

## OGŁOSZENIA DROBNE

### ROZTARGNIONE?

„Poszukuję odbiorców bluzek damskich, spódnic i sukienek...” — ogłasza ktoś w „Dzienniku Popularnym”.

Ach, te nasze rozdartnione panie! Czegoż one nie zostawiają przy różnych okazjach. Tyle, że gentlemani nie ogłaszają tego.

### KONKURENCJA DLA MOLI?

„Wykonuję w terminie ekspresowym dziurki” — donosi pewna pani w ogłoszeniach „Głosu Robotniczego”.  
Patrzcie, jak wszystko idzie do przodu. Dotychczas najlepsze w te konkurencji były mole.



Rys. Andrzej Tylczyński

## Z OBCYCH ŁAMÓW

### KONRAD FREIDLICH

### FRASZKI SPORTOWE

#### NAPASTNIK

Trzeba go oprawić w ramki: Nie trafia do pustej bramki.

#### ZŁOTA POLSKA JESIEŃ

Wiecej gminna niesie, Ze Lato to jesień.

#### REZERWISTA

Zawsze grał w rezerwie ku widzów uciechu, za to ma w rezerwie „twardych” pełną kieszeń.

#### TRIUMFATOR

Wszędzie wygrane zbiera, Na boisku z gry w kości, a w szatni z pokera.

#### PZPN

Jeszcze trochę I przeproszą Gmocha

Małgorzata Karbownik („Głos Robotniczy”) wyruszyła w podróż „TROPEM TEGO CO KTO LUBI”. W Klubie Dziennikarza zakładają się kiedy wróci.

„Przegląd Sportowy” doniósł: „KADRY KOLARSKIE ROZPOCZYNAJĄ MARSZ PO OLIMPIJSKIE MEDALE”.

Nie szybciej będzie na rowerach?

Pojawił się ostatnio w moim i w piśmie zwrot — perłka, zwrot — znamie czasu zwrot — freudowski okopnat, wynoszący do świadomości naszą podświadomość. Jest nim „w tym temacie”.

Słyszę — „to jest wszystko, co w tym temacie możemy zrobić”.

Czytam — „wyprodukowano w tym temacie 20 tys. sztuk wyrobów więcej”.

Jeden ten zwrot więcej mówi o nas niż tomy rozpraw. Przyszły badacz, któremu zachce się ocenić naszą mentalność, wydedukuje nas z niego bezbłędnie. Oto ludzie, którzy dużo czytali. I dużo pisali. Sprawozdan, notatek służbowych, doniesień, protokołów pokontrolnych, referatów. Czele ich jestestwo mieściło się w tej literaturze. Budzili się: „Jaki jest następny temat po śnie?”.

Szli do pracy: „Załatwić trzeba będzie temat wydojenia 30 krów”. Wrócili do domu: „Teraz mam temat — przepięknie pieliuch”. I tak skreślali temat za tematem, aby mieć je z głowy.

Po nocy poślubnej: „I to jest wszystko, co mogłem wykonać w tym temacie”. (Tu badacz uśmiechnie się). Co sobie badacz pomyśli, to pomyśli, ale będzie nas miał za ludzi systematycznych, skrupulatnych, pracowitych. Bledaczysko. Nie zda sobie sprawy z tego, że choć tematy zawsze były załatwia-

ne, to tematy tych tematów nie zawsze. To, że załatwiono temat wyprodukowania 20 tys. sztuk wyrobów więcej, wcale nie musiał oznaczać rzeczywistego wyprodukowania 20 tys. sztuk wyrobów. To, że załatwił ktoś temat snu — że był wyspany, temat dojenia krów — że krowy były wydójne, temat prania nieluch — że nieluchy wyprane.

## „W TYM TEMACIE”

ltd. itp., łącznie z tematem dotyczącym żony.

Słyszę — „Skreślił mi już temat części zamiennych”.

Czytam (w prasie) — „Jeśli chodzi o temat wydajności pracy, zajęła się nim dyrekcja”.

Myszę — „Zwrot to bzdurny, nonsensowny, ale jakież przez to żyłowy”.

I to by było tyle na ten temat.

KATORŻNIK

